

Marek Romański

GRÓD SZATANA

UNIKATY



1000
cykl kryminalny

Spis treści

- [Karta tytułowa](#)
 - [Edycja](#)
- [SZALEŃSTWO NEDA HARRISSONA](#)
- [SZALEŃSTWO ATLANTA CALLA](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [VI](#)
 - [VII](#)
 - [VIII](#)
 - [IX](#)
 - [X](#)
 - [XI](#)
 - [XII](#)
 - [XIII](#)
 - [XIV](#)
 - [XV](#)
 - [XVI](#)
 - [XVII](#)
 - [XVIII](#)
 - [XIX](#)

- [XX](#)
- [XXI](#)
- [XXII](#)
- [XXIII](#)
- [XXIV](#)
- [Karta tytułowa](#)

Marek Romański

GRÓD SZATANA



Unikaty: Cykl kryminalny (tom: 2)

Mrówka

1932

Tekst według edycji Wydawnictwa "Mrówka",
Warszawa - Poznań b.r. (1932?)

SZALEŃSTWO NEDA HARRISSONA

Theopolis miało być grodem Boga – Theopolis stało się grodem Szatana!

Są miasta, których powstanie tonie w pomroce dziejów tak gęstej, że żadne prace uczonych, nawet najbardziej żmudne, nie mogą ustalić czasu, kiedy powstały i kiedy uzyskały swą nazwę. Nikt nie zna historii powstania, nikt nie zna historii zagłady Ofiru, a przecież Ofir był, tętnił życiem i posiadał skarby nieprzebrane, posiadał kapłanów i świątynie, kupców i wojowników...

Czy wiadoma jest komukolwiek godzina, w której kamień węgielny rzucono pod budowę Niniwy? Albo kiedy powstała Troja?

Theopolis powstało inaczej. Theopolis powstało na oczach ludzkości, powstało na oczach całego świata.

Nie dawno jeszcze – bo czymże w historii świata są lat dziesiątki – położyli się do grobu ostatni z ludzi, którzy pamiętali, jak na miejscu, gdzie wzniesiono Theopolis, była pustynia, porośła gdzieniegdzie polami pękatych i pałkowatych kaktusów. Stada sępów o chciwych hakach dziobów unosiły się na Llano Estacado w poszukiwaniu łupów. W nocy do blasków księżyca wyły rozpaczliwą i długą skargą stada tchórzliwych kujotów.

Ale cywilizacja starła z Llano kaktusowe pola, jak wilgotna gąbka ściera mydło z twarzy. Znikły kujoty, uleciały stada sępów. I pozostała tylko stara indiańska legenda o sępach z Llano Estacado, którym z lat biegiem rośnie i coraz to bardziej haczykowato zakrzywia się górna część dziobu, aż starym sępom dziób zamurówuje i giną głodową śmiercią, kujoty zaś oszukują swą chciwość, ogryzając ich beźmieszne kości.

Na Llano Estacado wyrosło Theopolis. Llano Estacado przestało być pustynnym żerowiskiem padliny.

Był to niewątpliwie kaprys, albo i szaleństwo miliardera amerykańskiego Neda Harrissona, który stał się aeroplanowym Fordem i zebrał majątek tak wielki, iż sam nie mógł obliczyć dokładnie, jak procentuje mu kapitał i ile dochodów przynosi mu sekunda, a ile minuta.

Troski o to pozostawiał Ned Harrison niezamordowanym reporterom, którzy liczyli, dodawali, mnożyli i dzielili majątek Neda Harrissona, donosząc od czasu do czasu chciwym wieści czytelnikom, iż w roku tym a tym, majątek Neda Harrissona wzrastał w ciągu sekundy o tyle, w ciągu minuty zaś o tyle a tyle!... Czytelnik olbrzymich płacht gazetowych mógł stąd łatwo obliczyć, ile Ned Harrison zarabiał w ciągu godziny, dnia, tygodnia, miesiąca, roku... i w obliczeniach tych mógł znaleźć zabawną i godziwą rozrywkę.

Miliardy jednak nie dały szczęścia Nedowi Harrissonowi. *Król srebrnych skrzydeł*, jak go nazywano, był człowiekiem pełnym dziwactw. Theopolis było z tych dziwactw największym.

Ned Harrisson miał już wówczas lat sześćdziesiąt kilka i siwe włosy

na olbrzymiej czaszce rzednąć poczynają już szybko, gdy pod czaszką ową zrodził się pomysł niesłychany i niespotykany.

U Neda Harrissona nie było rozdźwięku między myślą a jej wykonaniem.

To była sensacja, jakiej świat nie widział, toteż pracowite anteny rozniosły wieść o niej po całym świecie i wszechświecie.

Tego samego dnia do pałacu Harrissona wezwana została armia najzdolniejszych inżynierów świata. Ned Harrisson krótko wyjaśnił im myśl swoją:

Na pustkowiach Llana Estacada wznieść Miasto Wiecznej Szczęśliwości... Odgrodzić je od świata handlowego zgiełku, od świata wojennego szczerku, od świata nigdy nie ugaszonych pożądań i wieczystej pogoni za pieniądzem.

Wznieść miasto Boga – Theopolis – wyposażyć je we wszystkie zdobycze techniki, te, które są, i te, które przyjdą...

Myśl Neda Harrissona miała dźwięk miliardów, miała dźwięk złota. Inżynierowie pochylili głowy przed tym planem i przed miliardami.

Llano Estacado zawrzało życiem. Ostre noże skosiły pola kaktusów, zgiełk pracy spłoszył sępy i kazał kujotom innych miejsc sobie szukać do swych księżycowych żalów.

Przez lat dziesięć bito w niebo drapacze chmur, przez lat dziesięć łowiły gwiazdy huk młotów i zgrzyt krajanej stali.

Wreszcie miasto światłości i wieczystego szczęścia było gotowe. Było gotowe do ostatniego elektrycznego tastra, do ostatniego wbitego w futrynę drzwi ćwieka.

Obok miasta cudów, miasta drapaczy chmur, miasta ogrodów,

gajów i parków, miasta, którego budynki wieńczyły kopuły z rżniętego kryształu, wzniósł Harrisson drugie miasto – miasto kominów fabrycznych i przemysłowych składów. Dzielnica ta miała produkować wszystko, co było potrzebne grodowi Boga, by przyszli jego mieszkańcy nie zaznali żadnego braku.

A jak cesarze chińscy cały swój ogromny kraj otoczyli murem wysokim, na którego basztach wierne czuwały straże – tak Ned Harrisson miasto swych marzeń, dzieło swego szaleństwa, obramował szerokim kanałem.

Theopolis bowiem miało być miastem nowych ludzi, miało być odcięte od świata.

W pośrodku miasta Theopolis polecił Ned Harrisson wznieść strzelisty budynek, drapacz chmur o dziewięćdziesięciu piętrach. Naczelnny inżynier odważył się raz zapytać Neda Harrissona, do czego miał służyć ów kolos z żelazobetonu i szkła, który kopułą swoją górując nad miastem, przecinać miał piorunochronem przepływające nisko chmury – lecz *król srebrnych skrzydeł* – człowiek, który mówił mało, ale uśmiechał się często – uśmiechnął się i tym razem, a uśmiech ten musiał naczelnemu inżynierowi zastąpić odpowiedź.

Aż nadszedł dzień, gdy mocarne piły przestały ciąć ze zgrzytem stalowe płachty, gdy umęczeni pracownicy odrzucili młoty i ćwieki, odjęli czarne ręce od obrabiarek, gdy cieśle utrudzeni otarli pot z czoła, a inżynierowie z westchnieniem ulgi zaciągnęli się wonnymi cygarami.

Theopolis było gotowe, Theopolis czekało na swych mieszkańców.

Ned Harrisson był już wówczas chory, bardzo chory i lekarze robili

wszystko, by zmęczonemu sercu milionera oszczędzić wzruszeń, które by mogły go zabić.

Niemniej Ned Harrisson wybrał spośród swych pracowników sześciu najbliższych i najbardziej mu oddanych i wyjaśnił im swoje szaleństwo.

Theopolis miało być miastem nowych ludzi, miało być miastem innej lepszej ludzkości. Obywatelem grodu Boga mógł być każdy człowiek bez względu na różnicę narodowości, wyznania czy języka, każdy, kogo przeszłość była nieskazitelna, kto zobowiązał się być posłusznym prawom Theopolis.

Ned Harrisson objaśnił te prawa.

Kto raz wszedł w mury Theopolis nie mógł go opuścić aż do śmierci. Kto raz opuścił Theopolis, dla tego nie było powrotu...

Miastem rządzić miała Rada Dwunastu, wybierana w powszechnym głosowaniu obywateli. Rada ta wybierać miała gubernatora, który miał stać na czele miasta. Językiem, który cementować miał obywateli boskiego grodu, miało być esperanto.

Ned Harrisson nakreślił swym pracownikom, jakim miało być Theopolis. Theopolis miało być miastem, które miało nie wiedzieć czym jest zbrodnia i przestępstwo. Ned Harrisson za matkę przestępstwa i zbrodni uważał nędzę. Obywatele Theopolis mieli nie wiedzieć, co to jest nędza. Obywatele Theopolis mieli pracować zgodnie ze swymi upodobaniami i wytwarzać sobie wszystko, co potrzebne im było do życia. Bank miasta Theopolis – który miał się mieścić wraz z siedzibą gubernatora w owym dziewięćdziesięciopiętrowym drapaczu chmur i w którym miały być

zdeponowane miliardy Harrissona – procenty od tego kapitału dzielić miał równo między wszystkich obywateli Theopolis, by nawet ci, którzy pracować nie mogli lub dla których brakłoby pracy, nie cierpieli niedostatku.

Theopolis miało być odcięte od świata, by o umysły jego obywateli nie obita się nawet myśl o zbrodni, nawet, słowo *zbrodnia*.

– Jeżeli nikomu niczego nie będzie brakować, jeżeli każdy w równej mierze będzie korzystać z cudów Theopolis, jeżeli Theopolis odcięte będzie od świata – nie będzie mogło wyrósć w Theopolis ani przestępstwo, ani zbrodnia, a już dzieci i wnuki tych, którzy w Theopolis zamieszkają pierwsi, nie będą wiedziały, co słowa te oznaczają, wykreślą je ze swego słownika i mózgu – mówił Ned Harrisson, trzęsąc swą siwą głową.

Wód kanału otaczającego Theopolis strzec miała specjalna straż i jednemu, jednemu tylko człowiekowi miało być wolno komunikować się z zewnętrznym światem – gubernatorowi Theopolis, który miał być zarazem gubernatorem banku.

I zanim jeszcze *król srebrnych skrzydeł* zamknął na zawsze wyblakłe oczy, oglądał Theopolis – gród Boga, miasto światłości, miasto swego szaleństwa, w pełni życia i rozkwitu...

W ciągu kilku miesięcy pracowała bezustannie specjalnie wyznaczona komisja, która z pośród kilku milionów ludzi, wszystkich ziem i krajów wybrała pięćset tysięcy mężczyzn i kobiet, którzy uzyskali obywatelstwo Theopolis. Nowi obywatele nowego miasta porzucili wszystko, co dotąd łączyło ich ze światem. Makrokosmosem ich miało być odtąd Theopolis. Theopolis miało być ich Alfą i Omega.

Ich i tych pokoleń, które miały się z nich zrodzić i przyjść po nich. Theopolis miało stworzyć swą własną prasę, swą własną literaturę, swą własną sztukę, swą własną historię.

Bo historia świata była pełna zbrodni, bo sztuka świata malowała zbrodnię, bo literatura świata mówiła często o zbrodni, bo prasa donosiła o zbrodni, a Ned Harrisson wyklął zbrodnię i jej matkę – nędzę i kazał jej paść na kolana przed bramami Theopolis.

I umarł Ned Harrisson, a pogrzebany został w kopule dziewięćdziesięciopiętrowego drapacza chmur, w kopule z rżniętego kryształu.

Noc w noc, gdy nad Theopolis mrok rozstawiał swe straże, rozbłyskała kopuła światłem czterech reflektorów i miliona żarówek i gorzała tak do pierwszego brzasku, górując nad całym miastem.

Wymarli inżynierowie, którzy budowali Theopolis, wymarli ci, którzy gród Boga wznosili swymi rękoma, wymarło pierwsze i drugie pokolenie obywateli Theopolis i było miasto – miastem szczęśliwości, i omijała je zbrodnia, i nie odważała się przekroczyć murów miasta, i zatrzymywała się na progu pustynnego Llana Estacada.

Theopolis było grodem Boga!

SZALEŃSTWO ATLANTA CALLA

Młody człowiek w granatowej marynarce, z odznaką kapitana służby lotniczej Theopolis, sięgnął do karafki obłożonej lodem i wychylił duszkiem dwie szklanki orzeźwiającego napoju.

Upał był straszliwy, tak straszliwy, że nawet małe wentylatory rozpraszające w każdym z pokoi miasta chłodne jak tchnienie lodowca powietrze, nie mogły zwalczyć nieznośnego gorąca.

Duszne, parne powietrze ciążyło jak ołów w płucach mieszkańców Theopolis.

Kapitan Atlant Call przekręcił taster elektryczny i w suficie pokoju ukazał się otwór, przez który do biura kapitana zaglądnął skrawek nieba. Równocześnie drabinka sznurowa opadła bezszelestnie i dotknęła podłogi.

Kapitan Call powoli i metodycznie wdrapał się po tej drabince i znalazł się na płaskim, rozległym dachu drapacza chmur.

Na dachu tym stały w szeregu hangary, w których odpoczywały i czekały na rozkaz odlotu srebrnoskrzydłe samoloty typu *Harrisson X*. Na wysokich masztach wyrastających z dachu drapacza chmur wisały olbrzymie lampy i reflektory. Po dachu uwijali się spotniali i zmęczeni ludzie o podobnych ubiorach i odznakach, jakie nosił kapitan Atlant Call.

Port lotniczy Theopolis mieścił się na dachu drapacza chmur, na wysokości sześćdziesiątego piętra.

Kapitan Cali zwrócił się z uśmiechem do człowieka w ubiorze lotniczym, który podchodził ku niemu.

– Gorąco, poruczniku Morris!

Zagadnięty skinął głową:

– Barometr opada! Czeka nas w nocy już nie burza ale nawałnica.

– Theopolis drwi sobie z burz i nawałnic...

Atlant Call zmarszczył brwi:

– Dzwoniono do mnie przed chwilą od gubernatora... Przywiózł pan pocztę z Nowego Jorku?...

– Oto, jest! Mechanik opóźnił mój start...

– Czy dokonano już rewizji pana aparatu?

– Tak.

– A zatem – wszystko w porządku?

Porucznik Morris zasalutował.

Wszystkie samoloty, będące w służbie gubernatora Theopolis, oraz ich piloci, którzy byli jedynym łącznikiem Theopolis ze światem, byli po każdym lądowaniu w Theopolis poddawani ścisłej rewizji. Wszyscy byli uroczyście zaprzysiężeni przez Radę Dwunastu, iż nie będą udzielać pytającym żadnych informacji o tym, co widzieli poza murami Theopolis.

Nikt ich zresztą o to nie pytał. Trzecie pokolenie mieszkańców Theopolis było tak szczęśliwe w murach swego miasta, że nie starało się wcale dowiedzieć, co dzieje się za murami grodu Boga. Niczego im nie brakowało. Mieli domy, pałace, ogrody i parki, wszelkie rozrywki,

cuda techniki i spokój beztroski. Nie znali walki o byt, nie znali nienawiści.

Nie byli ciekawi wieści z tych olbrzymich połaci ziemi i przestrzeni oceanów, które leżały gdzieś na wschód i zachód, na północ i południe od Theopolis. A jeżeli zaczynali myśleć o tym kiedykolwiek – przestawali o tym myśleć bardzo prędko.

Porucznik Morris nie mylił się. Upał i parnота znamionowały zbliżanie się burzy...

Wraz z mrokiem nocy, która zdawała się przyspieszać swoje przybycie, na niebo Theopolis wypłynęły szare, ciężkie jak ołów chmury.

Wielka kopuła górującego nad miastem drapacza chmur, kopuła będąca grobem Neda Harrissona, zapłonęła czterema ramionami reflektorów, rozdzierającymi na krzyż ciemności, rozgorzała ogniem miliona żarówek... Lecz światła reflektorów załamały się na zbitej masie chmur, wielkiej i groźnej.

Kapitan Atlant Call stał na dachu drapacza chmur mieszczącym aerodrom i patrzył na nadchodzącą nawałnicę. Nie wiadomo dlaczego zdawało mu się, iż nigdy nie widział w swym życiu chmur bardziej groźnych i bardziej złowróżbnych. Parnota osiadła mu na piersiach i dławiała płuca jak olbrzymi drapieźny ptak, który, obaliwszy ofiarę, siada na niej ciężko i zwycięskim dziobem dziurawi szyję zdobyczy, by się dobrać do ożywczej krwi.

Noc zapadła już dawno, a w jej cieniach Theopolis świeciło jak krater wulkanu zaklętego w chwili wybuchu.

O godzinie dwudziestej drugiej do pokoju kapitańskiego przybył

kapitan Alvine, by złuzować Atlanta Calla.

Ale młody kapitan nie spieszył z odejściem:

– Nie wiem, co mi jest! – rzekł do Alvine’a – Jestem dziwnie podniecony i nie mogę sobie po prostu miejsca znaleźć.

– To naturalny skutek nadchodzącej burzy – uśmiechnął się kapitan Alvine. – Mimo postępów techniki, mimo wszelkich zdobyczy mózgu ludzkiego, jesteśmy zależni od przyrody w tej samej mierze, co ludzie pierwotni.

Kapitan Call zrzucił marynarkę i rozciągnął się na niskiej sofie:

– Zostanę tu jeszcze z tobą – rzekł.

– Ależ, proszę cię bardzo. Myślałem, że spieszysz się dzisiaj do Maud!...

– Istotnie, miałem ten zamiar, ale...

Daleki, szybko zbliżający się łoskot przerwał Callowi rozpoczęte zdanie. Pierwszy piorun przewiął się po krańcach horyzontu i łomotem swym otarł się o Theopolis.

– Słyszysz?

Call głową skinął:

– I pomyśleć, że wystarczy, by gubernator w swym gabinecie pocisnąć jeden drobny guzik, by na wysokości dwudziestu pięter zamknęły się nad ulicami miasta szklane żaluzje nie dopuszczające ani kropli deszczu. Jakże cudowne jest Theopolis!

Burza rozegrała się na dobre.

Po pierwszym piorunie – rozbłysnął drugi, trzeci i dziesiąty, po czym deszcz olbrzymimi, gęstymi kroplami runął na Theopolis, miotany gwałtownymi podmuchami wichru.

Kapitan Alvine i Atlant Call przywdzieli obcisłe ubrania z nieprzemakalnej materii i nasunawszy na głowy kapuzy – wyszli na płaski dach drapacza chmur, gdzie zgromadzona służba aerodromu podziwiała wspaniałość burzy.

Wysoko nad miastem płonął i gorzał grób Neda Harrissona w kopule z rżniętego kryształu.

Obaj oficerowie lotnictwa przez długą chwilę obserwowali w milczeniu rozwidlające się języki błyskawic prujące czerń chmur.

Deszcz już nie padał, ale lał się z niebios strumieniami, spływając po ich nieprzemakalnych ubraniach.

– Nigdy jeszcze... – zaczął Alvine i naraz pochwycił Calla za rękę.

Olbrzymia błyskawica oślepiła ich na chwilę, ogłuszający łoskot zawibrował im w uszach.

Równocześnie światło reflektorów i miliona żarówek bijące z kryształowej kopuły zgasło, jak gaśnie światło z nagła zdmuchniętej świecy.

– Piorun uderzył w kabel doprowadzający do kopuły światło.

Alvine wzdrygnął się.

– Wracajmy na dół. Już dość się wystąłem na tej ulewie.

Ale kapitan Call nie myślał o powrocie.

– To dziwne – rzekł. – Zdaje się, jeszcze nigdy dotąd nie zgasło w nocy światło tej kopuły. Co to może oznaczać?

Towarzysz jego ruszył ramionami:

– Dziwne są raczej te twoje skłonności do mistycyzmu. Prosta rzecz! Nigdy dotąd piorun nie uszkodził głównego kabla.

– Ale dlaczego dziś?...

Zeszli obaj na dół, ale ledwie zaczęli zrzucać zmoozone ubrania, dzwonek wewnętrznego telefonu zadzwonił natarczywie.

Alvine podniósł słuchawkę i nacisnął dźwignię. Na matowej szybce telewizora ukazała się postać mówiącego przez telefon radiotelegrafisty.

Kapitan Alvine słuchał z uwagą.

– Odebrałem pięciokrotne sygnały NV – brzmiał meldunek radiotelegrafisty.

– Dobrze. Proszę czekać na dalsze dyspozycje.

– Co tam? – zapytał Call.

– Stacja nasza odebrała sygnały NV...

Pioruny srożyły się w dalszym ciągu nad miastem, ulewny deszcz dzwonił o szklane żaluzje ulic Theopolis.

– Samolot jakiś wzywa pomocy...

Sygnały NV według międzynarodowego kodu sygnałowego lotnictwa, oznaczały największe niebezpieczeństwo i odpowiadały sygnałom SOS rzucanym przez okręty w chwilach grozy.

– Tak! – rzekł Alvine. – Samolot jakiś miotany jest burzą i pilot jego wzywa ratunku.

– Co myślisz robić, Alvine?...

Twarz dyżurnego kapitana ściągnięta była namysłem.

– Wszystkie nasze samoloty odpoczywają w hangarach. To jakiś obcy samolot...

Alvine umilkł i dodał po chwili.

– Międzynarodowa konwencja z 1980 roku zabrania samolotom państw obcych przelotu nad Theopolis.

Atlant Call drgnął:

– Co pan mówi, Alvine. Tam ginie człowiek, a my mielibyśmy pozostać obojętni. To jest wyjątkowy wypadek, którego nie przewidziała konwencja. Musimy przyjść mu z pomocą... a resztę pozostawmy gubernatorowi... Alvine, my musimy pospieszyć z ratunkiem.

Kapitan Alvine machnął ręką:

– A więc, dobrze. Zatem do dzieła.

Nacisnął dwukrotnie alarmowy dzwonek, co oznaczało: Przygotować wszystko do lądowania, oświetlić pole aerodromu.

Następnie połączył się z radiotelegrafistą:

– Nadać pilotowi sygnały, by przygotowywał się do lądowania. Wskazać aerodrom...

W ciągu trzech minut płaski dach drapacza chmur zapłonął światłem lamp i reflektorów. Zbłąkany pilot, z trudem opierający się wichrom nawałnicy i walczący z uszkodzeniami steru, nie miał zbyt wiele kłopotu z odnalezieniem miejsca lądowania. Dach drapacza chmur rysował się w ciemnościach, jak wielka, fosforyzująca płaszczyzna prostokąta.

Kapitan Alvine uruchomił tymczasem kondensator głosu. Był to cudowny przyrząd, którego zadaniem było sygnalizować zbliżanie się powietrznych statków. Czuła membrana łowiła odgłos śmigieł, a wskazówki dwu tarczek wskazywały odległość samolotu od lotniska oraz wysokość na jakiej leciał, zaznaczając w ten sposób każdą zmianę położenia aeroplanu.

Lecz tym razem burza i ulewa przeszkadzały we wprawnym

funkcjonowaniu aparatu, który był uchem dowództwa portu lotniczego.

Minęła długa chwila, nim wskazówki na obu tarczach drgnęły i lekkie brzęczenie ozwało się w aparacie.

Alvine i Call odetchnęli. Nie było jeszcze za późno. Samolot utrzymywał się jeszcze w powietrzu.

Znowu telefon od radiotelegrafisty. Krótki raport:

– Pilot odebrał sygnały. Ma uszkodzone stery. Przygotowuje się do lądowania.

– Chyba do „dachowania” – zaśmiał się Atlant Call. – Nie znam bardziej w Theopolis niewłaściwego wyrażenia jak *lądowanie*, skoro nasz port lotniczy mieści się na dachu drapacza chmur.

Kapitan Alvine potrząsnął milcząco głową. Ten Call miał naprawdę dziwaczne pomysły.

Znaleźli się znów na dachu drapacza. Samolot zbliżał się już do aerodromu. W krótkich przerwach, jakie już nastawały w ulewie obaj oficerowie lotnictwa i służba aerodromu łowiła już uszyrna hałas śmigła.

– Reflektory! – polecił Alvine.

Smugi światła przedzierać się poczęły przez gęstwą deszczu, poszukując płatowca.

Wreszcie znalazły go i odtąd już biegły w ślad za nim.

Samolot zatoczył nad aerodromem dwa niezgrabne łuki, po czym „dachował” ciężko, gruchocąc podwozie.

Atlant Call poskoczył do aparatu. Był to pocztowy samolot Stanów Zjednoczonych. Targnął drzwi kabiny i oświetlił wnętrze aeroplanu.

Pilot zwisał bezwładnie na siedzeniu. Na czole jego znaczyło się pasmo krwi.

Wyniesiono go z samolotu i stwierdzono, że żył, choć na skutek wstrząśnienia przy lądowaniu uderzył głową o ścianę kabiny.

Alvine zwrócił się do Calla:

– Mój drogi, zajmij się pilotem, ja przeprowadzę rewizję aparatu i sporządzę raport...

Atlant Call przystał z chęcią na ową propozycję.

Pilota zniesiono do biur aerodromu, gdzie opatrzono mu ranę. W czasie opatrunku pilot ocknął się z omdlenia:

– Gdzie jestem? – zapytał.

– W Theopolis! – oznajmił mu Atlant Cali.

– W Theopolis? – powtórzył pilot, po czym znów stracił przytomność.



Po huraganie, jaki przeszedł w nocy nad Llanem Estacadem i nad Theopolis, nastał ranek pogodny i chłodny.

Atlant Call, siedząc w swym pokoju, obserwował w milczeniu uratowanego pilota, który spoczywał na jego łóżku, pogrążony w śnie.

Ponieważ pilot potrzebował natychmiastowego wypoczynku, Atlant Call zaproponował kapitanowi Alvine'owi, iż zabierze go do swego mieszkania mieszczącego się w budynku sąsiadującym z aerodromem. Uratowany pilot miał pozostać u niego aż do dalszej decyzji

gubernatora.

Atlant Call przez długie chwile wsłuchiwał się w spokojny, równy oddech uratowanego, po czym przypomniał sobie, iż zaniedbał jednej rzeczy, której zaniedbać nie było mu wolno. Obowiązkiem jego było zrewidować dokładnie ubranie pilota i zniszczyć wszystko, co wniesie by mogło jakikolwiek dysonans w spokojne życie mieszkańców Theopolis, gdyby się dostało w niepowołane ręce.

Atlant Call z lekceważącym uśmiechem zabrał się do tej roboty i po chwili szereg drobiazgów z ubrania pilota znalazł się na małym stoliczku. Wśród nich jeden zwrócił jego uwagę.

Była to mała, w skórę oprawna książeczka, gruba i pękata.

Kapitan Call z zaciekawieniem otworzył tę książeczkę i ją przewracać cienkie kartki o złoconych brzegach. Tekst grubej książeczki był w języku esperanckim, dzięki czemu mógł go odczytać.

Książeczka ta nie była mu znana. Atlant Call spojrzał na śpiącego pilota. Spał snem głębokim. Call zamknął książeczkę i odłożył ją na bok, wnet jednak ujął ją znowu i otworzywszy na chybił trafił czytał:

Ale na Kaina i na ofiarę jego nie spojrzał i rozgniewał się Kain bardzo i zmieniła się twarz jego.

Tedy rzekł Pan do Kaina: Przecz-żeś się zapalił gniewem i czemu zmieniła się twarz twoja?...

Czyż jeśli dobrze czynić będziesz, nie będziesz wywyższon?...

*I rozmawiał Kain z Ablem, bratem swoim, i stało się, gdy byli w polu, iż powstał na niego i **zabił** go¹...*

Kapitan Atlant Call przesunął ręką po czole. Jednego słowa nie zrozumiał, nie pojął... Nic dziwnego, bo od kilku pokoleń nie znali go

mieszkańcy Theopolis.

Obrócił szereg kart małej, grubej książeczki i czytał znowu, tam, gdzie padł jego wzrok:

I stało się za dni owych, gdy wyrósł Mojżesz i wyszedł do braci swej, iż widział ciężary ich – obaczył też męża, Egipcjanina, który bił jednego Hebrajczyka z braci jego...

*A obejrzawszy się tam i sam, gdy widział, iż w pobliżu nikogo nie masz, **zabił** Egipcjanina i zagrzebał go w piasek²...*

Atlant Call odczytał po raz drugi wersety nieznanej mu książki i zastanowił się znów nad owym tajemniczym słowem, z którym napotkał się już raz drugi. Znowu przerzucił dziesiątki kart i czytał dalej:

Tedy zapalił Jozue Haj i uczynił je mogiłą wieczną i pustynią, aż do dnia tego...

A króla Haj obwiesił na drzewie, aż do wieczora, a gdy słońce zaszło, rozkazał Jozue, aby zdjęto trupa jego z drzewa, a porzucono go w samym wejściu bramy miejskiej... i namiotali nań kupę kamieni wielką³...

Kapitan Call zamknął grubą, małą książkę i rzucił ją na stół przed sobą. Powoli zaczynał rozumieć, iż mówiła ona o jakichś czynach gwałtownych, które nieznane były Theopolis i jego mieszkańcom.

Czym była ta książka, która mówiła o tych zdaje się rzeczach, o których w Theopolis wymarła nawet nazwa... nawet myśl.

Atlant Call począł rozumieć i uczył pod czaszką taki nawał i natłok myśli nieznanych i nowych, że przeraził się ich i ujął się

rękoma za głowę, jakby chcąc je odpędzić...

– Zmęczony jestem! Źle, że nie spałem tej nocy... – szepnął do siebie.

Podszedł do małej szklanej szafki, wiszącej na ścianie, dobył z niej ampułkę z białym płynem i szpryczkę do zastrzyków. Była to kokaina. Odwinął rękaw koszuli, długą cienką igłę wbił pod skórę i nacisnął tłoczek. Pudełko z ampułkami i szpryczką schował z powrotem do szafki i znów usiadł do czytania.

I czytał o mordowanych i kamienowanych mężach, o obracanych w perzynę grodach, o miastach równanych z ziemią, o wojownikach w pień wycinanych, o wytracanych niewiastach i dzieciach... I powoli zaczynał rozumieć i dziwić się, i przerażać... i truchleć.

Gdy podniósł znad książki rozszerzone łękiem poznania oczy ujrzał, iż uratowany już nie śpi.

Złożył książkę i podszedł ku niemu.

– Czy już od dawna pan nie śpi?

– Od dłuższej chwili... Widziałem, że pan czytał, nie chciałem więc panu przeszkadzać...

– Jakże pan się czuje?

– Zupełnie dobrze... Jestem, o ile pamiętam, w Theopolis...

– Tak! W Theopolis...

– Kiedy będę mógł wystartować do Nowego Jorku?

– Nie wiem. To zależy od gubernatora... Nie wiem, czy pan w ogóle wystartuje.

Pilot uniósł się na posłaniu:

– Dlaczego?

– Pierwszym prawem Theopolis, prawem nadanym nam przez Neda Harrissona, twórcę Theopolis, było: **Kto opuścił Theopolis, nie może doń powrócić... kto wszedł w mury, nie wyjdzie już z nich nigdy.**

– To straszne.

– Tu jednak zaszedł wyjątkowy wypadek... Sądzę, że gubernator go uwzględni... Zaraz każę panu podać posiłek.

Atlant Call opuścił na chwile pokój, a gdy powrócił, gość jego był już ubrany. Kapitan lotnictwa Theopolis ujął w rękę książkę, znaną w ubraniu pilota i wskazał mu ją.

– Czytałem to! – rzekł. Nie potrafiłby w danej chwili mówić o czymkolwiek innym z przybysem spoza murów miasta.

Pilot uśmiechnął się:

– Ach! Czytał pan Pismo Święte? Stary Testament?

– Tak, to książka w Theopolis nieznana.

Atlant Call urwał, po czym zapytał, skandując każdy wyraz:

– Co znaczy słowo **zabić**?

Gość jego spojrzał nań zdziwiony, po czym przypomniał sobie, że jest w Theopolis zmarszczył brwi.

– Może, nie powinienem o tym mówić z panem?

Kapitan Call uczynił przeczący ruch ręką. Głos jego brzmiał szorstko i natarczywie.

– Chcę, by pan o tym ze mną mówił... Co znaczy słowo **zabić**?

– Jakby to panu wytłumaczyć... Wszak i tu u was, w Theopolis, też umierają ludzie...

– Tak. Gdy człowiek jest bardzo, bardzo stary i zmęczony, wtedy Bóg odłącza jego duszę od ciała... Ale to nie jest straszne, bo dusza

jest szczęśliwa.

Przybysz z powietrza sfałdował w namyśle wysokie czoło:

– Widzi pan... – rzekł powoli – gdy człowiek uzurpuje sobie to boskie prawo i duszę drugiego człowieka wyzwala z ciała przed czasem – to **to** znaczy *zabić*.

Atlant Call otarł pot, który wystąpił mu na czoło:

– Przeglądałem tę książkę – rzekł. – Czytałem tam często słowo *zabić*, czytałem, jak ludzie gromadnie i pojedynczo **zabijali się...** Czy to jest rzeczą złą?

– To jest zbrodnią!

Atlant Call opadł na fotel:

– I wy, wy, tam, za murami miasta, książkę tę nazywacie – Pismem Świętym?

Pilot milczał. Atlant Call patrzył nań przenikliwie:

– A więc ja mogę *zabić* pana, pan mnie...

Pilot cofnął się o krok. Blask oczu Calla przeraził go:

– Każdy człowiek może zabić każdego człowieka...

Atlant Call oparł głowę na rękach. Kłębowisko myśli rozsadzało mu czaszkę. Jak z usypisk kamieni w głębi lasu wychyla się nagle płaski, sercowaty łeb żmii, która syczy i otwiera pysk z jadowitymi zębami, tak z czeluści mózgu Atlanta Calla wypełzła myśl potworna i poczęła się domagać spełnienia. *A obejrzawszy się tam i sam, gdy widział iż w pobliżu nikogo nie ma, zabił... i zagrzebał go... Zabił!...* Słowo którego nie znał przed godziną jeszcze, a które obecnie utworzyło w jego mózgu nowy, odrębny świat myśli.

Straszliwe nieprzewycięzalne pożądanie zobaczenia, jak wygląda

człowiek zabity, jak przeżywa człowiek, który zabija, moment zabijania. Dotąd w Theopolis zabijał tylko Bóg, gdy człowiek doszedł kresu swej starości... Tylko Bóg! A gdyby on, Atlant Call, zabił – uczyniłby to tylko, co czynił Bóg, a więc na chwilę, na sekundę, stałby się równie mocarny jak Bóg... *A gdy byli w polu powstał Kain na Abła i zabił go...* Co przeżywa, co odczuwa człowiek, który zabija?... Oto odkrył w sobie siłę i moc jakąś nową, straszliwą, a dotąd mu nieznaną – moc zabijania. Ned Harrisson, którego wyschła mumia spoczywała w sercu Theopolis na szczycie strzelistego drapacza chmur, pod kryształową kopułą, stworzył miasto, gdzie nieznaną była zbrodnia... a on, on, Atlant Call... będzie tym, który zbrodnię z powrotem wwiedzie w bramy miasta światłości i szczęśliwości wiecznej... Będzie jak żołnierz, który pierwszy wdarł się na blanki warownego grodziszczka i wzniecił w nim pożar... On!...

Atlant Call wstał nagle i z twarzą zmienioną, ze wzrokiem błyszczącym, jak błyszczą oczy tygrysie w noc łowów w zaułkach dżungli, zbliżyć się począł wolno do pilota.

– Zabiję pana! – rzekł, a zarazem uświadomił sobie, iż jest pierwszym człowiekiem, który w Theopolis wymawia te słowa, i uczucie szalonej pychy rozparło mu pierś:

– Zabiję pana! – powtórzył.

Pilot zaś cofnął się w tył i wyciągnął ręce przed siebie.

– Pan oszalał! – zawołał.

Atlant Call ujrzał nagle, jak w oczach obcego przybysza zaświecił błądliwy przestach. Wzbudziła się w nim niezwalczona, pierwotna żądza mordy, żądza zniszczenia.

– Zabiję! – powtórzył po raz trzeci chrapliwym, zmienionym głosem.

Ręka jego natrafiła na jakiś twardy przedmiot. Był to ciężki przycisk na biurko. Atlant Call pochwycił mocno ów przycisk w chciwe palce i uniósł go w górę.

Przed oczyma mignęła mu jeszcze przerażona, lękiem sfałdowana twarz pilota, ręce, które wyciągnęły się, by cios odparować.

Atlant Call uderzył... obcy pilot, przybysz do Theopolis, zachwiał się... Atlant Call uderzył po raz drugi i trzeci.

Na ustach wystąpiła mu piana, oczy nabiegły krwią ... Rzucił się na drgające konaniem ciało i bił je, i kopał.

Nie słyszał jak dzwonek u drzwi jego mieszkania zadzwonił dwukrotnie, cały świat zawirował mu przed oczyma i znikł gdzieś, zapadł się w przestrzeń.

Ujrzał, iż ręce ma umazane w krwi i począł nad zmasakrowanym ciałem zawodzić jakiś taniec piekielny.

– Aho! Ahoi! Hallali!!

Drzwi pokoju otworzyły się cicho. Staął w nich kapitan Alvine.

– Rozkaz od gubernatora... – rzekł.

Lecz naraz objął wzrokiem pokój i trupa, i Atlanta Calla, i poblądł tak, iż krew wszystka spłynęła mu z twarzy do serca.

Atlant Call zaś przypadł doń blisko i szeptem, w którym było coś niesamowitego, począł wołać.

– Zabiłem go! Alvine, rozumiesz! Ja, Atlant Call... zabiłem!... Za... bi... łem. Aho! Ahoi! Hallali!!... Hallali!...

Do Theopolis wkroczyła zbrodnia!...

Gdy fale morza, które przez długie lata drażą i szczybią tamy wzniesione ręką ludzką, dokonają wreszcie zwycięsko swej pracy i w tamach wygryzą wyłom – wody piętrzą się i wzburzone wdzierają się lawiną w wyłom, łamią tamy i zalewają ląd głęboko, niszcząc pracę pokoleń.

Tak samo weszła do Theopolis zbrodnia. Zerwała wszystkie tamy, runęła na miasto światłości i szczęśliwości wiecznej, jak idzie górską lawina, która z coraz to większą szybkością tocząc się w dół niszczy na zboczach gór wyrosłe chaty górali, jak złośliwy chłopak, strącający jaskółcze gniazda...

Jedna zbrodnia zrodziła zbrodni dziesięć, a każda z dziesięciu zbrodni była matką nowych dziesięciu...

I pomieszały się umysły mieszkańców Theopolis, i znikło ich szczęście i beztroska. I wraz ze zbrodnią przyszła do Theopolis sprawiedliwość – sprawiedliwość ubrana w czerwoną togę prokuratora i w czarny biret sędziego, sprawiedliwość przyozdobiona w mundury policyjne, sprawiedliwość mieszkająca za kratami więzień o czerwonych, nietynkowanych murach, sprawiedliwość potrząsająca stryczkiem, siedząca skulona, sardonicznie uśmiechnięta na krzyżu szubienicy, sprawiedliwość w białych rękawiczkach kata...

Znikły, pozostały jedynie legendą i słowem pustym, krzywodziobe sępy Llana Estacada – ale sępy ludzkie obsiadły gęsto miasto światłości i o mury miasta ostrzyły swe szpony.

Theopolis...

Theopolis miało być grodem Boga – Theopolis stało się grodem Szatana!...

¹ *Genesis IV, 5-8.*

² *Exodus II, 11-12.*

³ *Księga Jozuego VIII, 28-29.*



Od chwili, kiedy Atlant Call otworzył bramy Theopolis zbrodni, minęły lata...

Miasto z żelazobetonu, miasto ze szkła i kryształu, miasto Neda Harrissona układało się do snu w woalach nadchodzącego wieczoru.

Prokurator Ralf Fingal poprawił na ramionach purpurową togę i spojrzał najpierw na zegarek, a potem, z wyrzutem, na przewodniczącego trybunału.

Była już godzina siódma wieczór, na ósmą zaś proszony był na obiad do gubernatora. Przedtem jednak miał wygłosić wielką mowę oskarżycielską, która oskarżonego zaprowadzić miała na stopnie szubienicy. Tymczasem przewodniczący rozprawy dopuścił, najniepotrzebniej w świecie, jednego jeszcze świadka obrony, który właśnie składał mętne zeznania.

Prokurator Fingal uniósł lekko ramiona, a na jego pięknej twarzy zarysowała się nuda. Miał w aktach druzgocące dowody winy oskarżonego. Zeznania nowego świadka nie miały w niczym wpłynąć na los przestępcy.

Spojrzał znów na zegarek. Godzina siódma minut piętnaście. Powiódł oczyma po tłumie falującym i wypełniającym po brzegi sądową salę i uśmiech zadowolenia przebiegł po jego kształtnych wargach.

Te tłumy przysły dla niego. Przysły tu, by słyszeć jego – prokuratora Ralfa Fingala – by słyszeć, jak na szalę sprawiedliwości będzie rzucał ważne słowa i nieodparte dowody winy oskarżonego.

Mowami oskarżycielskimi prokuratora Fingala zachwycało się całe Theopolis. Procesy, w których oskarżał prokurator Fingal, były sensacją Theopolis.

Przymrużył oczy i spojrzał na mikrofon ustawiony przed jego lożą prokuratorowską. Wielu ludzi, którzy nie uzyskali wstępu na salę sądową, którzy przyjść nie mogli lub których sala rozpraw nie pomieściła mimo swych rozmiarów – słuchać będzie za chwilę jego przemówienia przez radio. May, zapewne, też go będzie słuchała. May Fairfax, czarująca blondynka, córka gubernatora Theopolis. Miał zobaczyć ją niedługo... na obiedzie, na który był proszony.

Ralf Fingal przymknął oczy i starał się wywołać w swej wyobraźni obraz smukłej blondynki, o łagodnym szafirze oczu. Powiedziała mu wczoraj, że nie będzie mogła być na rozprawie, ale, że będzie czuwała przy aparacie radiowym, by ani słowa nie uronić z jego przemówienia...

– Pan prokurator ma głos!

Suchy, znużony głos przewodniczącego wyrwał go z zadumy i marzeń.

Wstał i uporządkował swe papiery, po czym, milcząc przez chwilę, powiódł oczyma po zgromadzonej publiczności, która wstrzymała dech w piersiach. Tam, w siedzibie gubernatora, oczekiwała słów jego May Fairfax ... Dzisiejsze jego przemówienie przeniesieć miało jego wszystkie dotychczasowe mowy oskarżycielskie.

Ralf Fingal począł oskarżać. Wspomniął, na wstępie, o Nedzie Harrissonie, człowieku wielkiej idei, którego prochy spoczywały w sercu miasta, pod kryształową kopułą, w czaszy drapacza chmur. Wspomniął o przekłętym pamięci Atlancie Callu, który zburzył dzieło Harrissona jak Herostrates, który spalił, przed mnogimi wiekami, świątynię Diany w Efezie. Potem przebiegł historię zbrodni, którą właśnie sędzono – wykazał winę oskarżonego i zdruzgotał go w opinii sędziów i publiczności.

Rozpętywał i miotał pioruny, groził, napominał i przestrzegał, aż wreszcie doszedł do końcowego punktu swej mowy.

– Żądam najwyższej kary, panowie sędziowie, najwyższej kary, jaką może społeczeństwo wymierzyć jednostce, która depta jego prawa. Żądam kary śmierci! Zapewne, straszna to rzecz, gdy za życie żąda się życia, za głowę – głowy... I mógłby tu ktoś na tej sali obecny lub ktoś nieobecny w tej sali wystąpić i zapytać: czy wolno, panie prokuratorze? Czy rozumie pan, czego pan żąda od tego wysokiego trybunału? Czy mamy prawo zadawać śmierć temu, który śmierć zadaje, czy nie leczymy zła złem, trucizny – stokroć gorszą trucizną?...

Ja sam pytałem o to siebie i rozważyłem głęboko w mej duszy tę sprawę. I z głębi przekonania mówię i wołam, że wolno, choć to jest rzecz straszna, bo przyzywamy majestat śmierci i każemy jej, by dokonała aktu sprawiedliwości. Rozrosła się zbrodnia w Theopolis i oplotła nasze miasto jak polip mackami oplata swą zdobycz. Zbrodnia w Theopolis nie chodzi luzem – zbrodnia w Theopolis ujęta została w organizacyjne karby. Nie mam dowodów, lecz mam przekonanie, że

oskarżony nie działał sam, że za oskarżonym stoi tajemnicza organizacja, organizacja przestępców, którzy chcą owoładnąć miastem. Jak rak toczy tkanki i na żywym rozrasta się ciele, tak rozrosła się zbrodnia w Theopolis.

Czy mamy prawo wyciąć tę rakowatą tkankę? Czy mamy prawo odciąć ramiona ośmiornicy? Czy mamy prawo wypalić wrzód ropiejący? Mamy to prawo, panowie sędziowie. I mamy prawo oddać oskarżonego na żer szubienicy, choć – powiadam – rzecz to jest straszna i umysł ludzki wzdraga się na samą myśl o tym.

W imię sprawiedliwości, w imię pohańbionego Theopolis, które chciałoby znowu być miastem światłości i szczęśliwości wiecznej, dla odstrasającego przykładu tym, którzy chcieliby kroczyć lub już krocą szlakami zbrodni – żądam kary śmierci! Dla zbrodni nie ma litości!...

Prokurator Fingal wyciągnął przed siebie rękę i zastygł tak, na moment, z odrzuconymi w tył włosami, ze wzruszoną twarzą, rzekłbyś archanioł pomsty w purpurowej szacie.

– Panowie sędziowie! – zakończył. – Theopolis domaga się od was przez moje usta jednej tylko rzeczy: sprawiedliwego wyroku. Jestem spokojny, że wyrok taki zapadnie...

Prokurator Fingal skinął lekko głową trybunałowi i usiadł wśród powszechnego milczenia. Przez pięć minut słuchał obojętnie obrończej mowy, po czym podszedł do przewodniczącego rozprawy i oznajmił mu, że zrzeka się repliki, musi bowiem zaraz udać się do gubernatora. Prosił jedynie, by powiadomiono go telefonicznie o wyroku. Nie miał zresztą żadnych wątpliwości, że będzie on

zasądżający, że o północy zaskrzypi znowu drzewo szubienicy, uginając się pod nowym ciałem.

Ralf Fingal przeszedł do swego gabinetu, gdzie zrzucił purpurową togę rzecznika wojującej sprawiedliwości.

Spojrzał znów na zegarek. Było kilka minut po ósmej. A więc zdąży na czas.

Chyża winda zaniósła go na dach drapacza chmur, gdzie oczekiwał go już mały helikopter wraz z pilotem.

Prokurator Fingal zajął miejsce w kabinie i helikopter uniósł się z miejsca pionowo w górę, po czym skierował się w stronę siedziby gubernatora i wylądował na dachu innego drapacza chmur równie lekko, jak wzbił się w powietrze.

Winda o lustrzanych ścianach zawiozła go w dół, na sześćdziesiąte piętro drapacza nieba, gdzie mieściła się prywatna siedziba gubernatora Theopolis – Enocha Fairfaxa.

Ralf Fingal poprawił uczesanie włosów, uśmiechnął się sam do swej urody, po czym po puszystych dywanach przeszedł przez jasno oświetlone korytarze, na których szklane krany rozpylały pachnidła i pracowały bezszelestnie wchłaniacze pyłu.

Lokaj, wytworny jak Lord angielski, skłonił się przed nim w milczeniu i nacisnął guzik elektryczny. Drzwi otworzyły się cicho, po czym natychmiast zamknęły się za Ralfem i prokurator znalazł się w nowej sali, której ściany wyłożone były mlecznym szkłem i oświetlone różnokolorowymi żarówkami.

Oficer policji podniósł się zza małego biurka, które poza dwoma krzesłami, stanowiło jedyne umeblowanie pokoju z mlecznego szkła.

– Kto i do kogo? – rzucił stereotypowe pytanie dyżurny oficer.

– Prokurator Ralf Fingal do gubernatora Fairfaxesa.

Oficer odebrał i przeczytał podane mu zaproszenie. Znał prokuratora doskonale, bo ktośby w Theopolis nie znał Ralfa Fingala, ale z dokładnością maszyny wypełniał swe służbowe obowiązki. Gubernator Enoch Fairfax dwa razy już uniknął szczęśliwie zamachów na swe życie, a ostatnio znowu jego kancelaria otrzymywała listy grożące gubernatorowi śmiercią. Wydane zostały wszelkie zarządzenia i poczynione wszelkie środki ostrożności, by udaremnić dalsze próby zamachów na głowę Theopolis.

Oficer policji skinął głową i otworzył małe drzwi, niewidoczne dla wtajemniczonego. Ralf Fingal wszedł przez nie i znalazł się wobec gubernatora Fairfaxesa i jego córki.

Powitały go uprzejme uśmiechy.

– Czekamy na pana! – usłyszał melodyjny głos May Fairfaxes. – Prosto z rozprawy, prawda?...

– Istotnie! – odparł Ralf Fingal, witając się z gubernatorem miasta, wysokim mężczyzną o siwej brodzie i ostrym, kłującym spojrzeniu. – Spóźniłem się, ale usprawiedliwia mnie fakt, że pełniłem mój obowiązek.

Ralf Fingal dojrzał wyraz zadowolenia na twarzy gubernatora i wargi jego złożyły się do uśmiechu. Był człowiekiem żądnym rozgłosu i władzy i lubiał wyrabiać o sobie jak najlepszą opinię.

– Mówiła mi May – ozwał się Enoch Fairfax – że słuchała pana przemówienia przez radio.

Ralf objął wzrokiem smukłą sylwetkę dziewczyny:

– Słuchała pani naprawdę?

Skinęła głową, a lekki rumieniec wystąpił jej na matowe policzki.

– Tak, słuchałam... był pan faktycznie niezrównany...

Pochylił głowę. W całym Theopolis na niczyjej opinii mu tak nie zależało, jak na opinii May.

May Fairfax nie była piękna, była tylko ładna, ale łagodność i dobroć, która przebijała z rysów jej twarzy, oraz spokojna wytworność ruchów nadawały szczególny czar jej postaci. W łagodności jej rysów było jednak coś drażniąco zmysłowego, coś czego Ralf Fingal nie mógł określić słowami, a co sprawiało, że młoda krew jego burzyć się i wrzeć poczynała. Wśród rozlicznych celów i ambicji życiowych Ralfa Fingala – May Fairfax, córka gubernatora, nie zajmowała ostatniego miejsca.

– Czy wyrok już zapadł?

Ralf potrząsnął głową:

– Gdy wychodziłem z Pałacu Sprawiedliwości, zaczynał przemawiać obrońca ... Prosiłem, by dano mi tu znać o wyroku.

May potrząsnęła falą jasnych włosów:

– Znowu wyrok śmierci. To straszne!... Jak jeszcze długo trwać będzie ten tępy wyścig sprawiedliwości i zbrodni.

Gubernator uczynił nieokreślony ruch ręką:

– Będę musiał, niestety, podpisać ten wyrok śmierci.

– Ułaskaw go, ojczy. To podobno młody chłopak...

Ralf Fingal spoważniał. Głos jego stał się trochę chropowaty, gdy próbował tłumaczyć:

– To jest smutna konieczność, panno May... Nikt z nas nie czyni

tego dla kaprysu, emocji, czy dla jakiejś zбочzonej sadystycznej przyjemności wydania człowieka śmierci. Zabijamy wprawdzie człowieka, ale godzimy w symbol... w zbrodnię... Theopolis jest chore, Theopolis jest miastem zbrodni... Podobno tam, za murami miasta, nazywają je *Grodem Szatana*... My, ludzie sprawiedliwości, chcemy je uzdrowić.

– A jednak byłabym szczęśliwa, gdyby ów człowiek żył.

Ralf ręce rozłożył:

– To nie leży w mej mocy. Nie jestem panem sprawiedliwości, ale jej najniższym sługą.

W drzwiach ukazał się służący, który oznajmił, iż obiad czeka.

Gubernator ożywił się. Był smakoszem i porę obiadową zaliczał do najmilszych chwil dnia.

Przeszli do sali jadalnej, sali o kryształowych ścianach, które w świetle lamp błyskały barwami tęczy i czyniły ją podobną do czarownej groty, o jakich mówią bajki z tysiąca i jednej nocy.

Ralf Fingal z zadowoleniem zauważył, iż nakryć było tylko trzy.

Gubernator podchwycił jego spojrzenie:

– Zjemy dziś obiad w zupełnie ścisłym kółku – rzekł. – W obecności świty czuję się zawsze nieco skrępowany.

Obiad mijał w pogodnym nastroju.

Gubernator Fairfax jadł dużo i z apetytem, wyśmiewając przy tym próby uczonych sporządzania substancji zawierającej wszystkie potrzebne naturze ludzkiej pierwiastki odżywcze. Funkcja jedzenia ograniczałaby się wówczas jedynie do połknięcia kilku małych kulek sporządzonych z tej witaminowej substancji.

Ralf Fingal pokiwał z uśmiechem głową:

– W ostatnich czasach mówi się o tym faktycznie wiele. Żołądek ludzki okazałby się wówczas organem prawie zbędnym. Znam nawet człowieka, który od kilku miesięcy próbuje się odżywiać w ten sposób.

– Któż to jest? – zapytała May.

– Zna go pani, niewątpliwie. Jest to niejaki Roman Czarza.

– Z głównej komendy policji? – zapytał gubernator.

Ralf Fingal chciał odpowiedzieć twierdząco, gdy nagle w drzwiach sali ukazał się dyżurny oficer. Biesiadnicy zwrócili oczy na niego. Domyślali się z czym przychodził.

– Cóż, wyrok wydany? – zapytał Ralf Fingal, z niecierpliwością człowieka, który chciałby widzieć szybkie uwięczenie swych wysiłków.

– Zapadł wyrok śmierci! – potwierdził oficer. – Wątpię jednak, czy będzie kiedykolwiek wykonany.

Enoch Fairfax czoło zmarszczył:

– Nie rozumiem? – rzekł.

– Skazaniec – ciągnął dalej oficer – został odbity i porwany w chwili przetransportowywania go do więzienia. Stało się to na Dwieście Czterdziestej Piątej ulicy... Policja była zaskoczona przez przeważającą siłę.

Prokurator Fingal powstał nagle?

– Porwany?...

– Tak jest, panie prokuratorze.

Brwi gubernatora i Fingala ściągnęły się groźnie. Jedna tylko May

ucieszyła się z faktu odbicia z rąk policji skazanego na śmierć.

– Kto dowodził eskortą policyjną? – zapytał po chwili milczenia Ralf Fingal.

– Major Policji Sidney Clark Murphy – brzmiała odpowiedź.

– To dziwne! – szepnął półgłosem Ralf Fingal. – To dziwne!... Clark Murphy był głównym świadkiem oskarżenia...



Uśmiechając się do swych myśli, Lord Percy Dilling przywdziewał wieczorowe ubranie.

Idealista najczystszej krwi, Lord Dilling, za gorącą agitację antywojenną w okresie wojny brytyjsko-japońskiej skazany został na banicję i opuściwszy Anglię, osiadł w Theopolis.

Pozbawiony majątku, drogą konfiskaty, Sir Percy żył z kwoty, jaką, w myśl testamentu Neda Harrissona, otrzymywał każdy mieszkaniec Theopolis z banku miasta. Wystarczało mu to na skromne życie, do którego przywykł łatwo, mimo bowiem starego arystokratycznego nazwiska, był człowiekiem o upodobaniach na wskroś demokratycznych. Wszystkich zresztą skarbów świata nie byłby oddał za jeden uśmiech pełnych warg Maud Fergusson.

Ilekroć wspomniał sobie jej imię, a wspominał je bardzo często, tylekroć uśmiech radości rozpromieniał jego spokojne rysy.

Kochał Maud Fergusson. Czyż mogło być zresztą inaczej. Czyż można było nie kochać od pierwszego wejrzenia tej ciemnej brunetki o śniadej karnacji ciała, o pysznych kształtach i gorących ciemnych oczach, które patrzyły nań zawsze z niekłamana sympatią.

Ale Maud Fergusson była bogata, była bardzo bogata. Pałac jej ojca Freda Fergussona był to okazały drapacz chmur, pełen przepychu, rzucony wśród wielkiego, świeżego zielonością parku. Fred Fergusson

był prawnikiem wielkiego fabrykanta aparatów radiowych, który dorobiwszy się milionów, złożył je w banku Theopolis i osiadł przed wieloma dziesiątkami lat w mieście, podówczas jeszcze, szczęśliwości wiecznej.

Maud Fergusson była bogata, była niesłychanie bogata, a on, Sir Percy Dilling, był przy niej człowiekiem ubogim i oto dlaczego, mimo że kochał ją od lat dwu, nie odważył się jeszcze dotąd wyznać jej swojej miłości. Wiedział jednak, że dla wyrażenia kochanej istocie swych uczuć niekoniecznie trzeba słów, zdawał sobie sprawę, że Maud kobietą swą intuicją od dawna odgadła, że serce jego należy niepodzielnie do niej.

Dziś właśnie, w ogrodach Freda Fergussona, odbyć się miało królewskie przyjęcie, na którym Sir Percy postanowił wyjawic Maud swe uczucia i zakonczyć długi okres niepewności. I naraz Lord Dilling zmarszczył brwi, a uśmiech znikł mu z twarzy. Przypomniał sobie Lacy'ego Kerntopa i ogarnął go nagły niepokój.

Lacy Kerntop był wicedyrektorem banku Theopolis i od dłuższego czasu asystował Maud, dając wszystkim wyraźnie do zrozumienia, a najbardziej jej ojcu, że chce się zaliczać do liczby pretendentów do ręki dziewczyny.

Mimo młodego wieku Lacy Kerntop zasiadał już w Radzie Dwunastu. Gdy mówiono czasem w Theopolis o tym, kto po śmierci gubernatora Fairfaxa obejmie osierocony najwyższy urząd w Theopolis, najczęściej wymieniano dwa nazwiska: Ralfa Fingala i Lacy'ego Kerntopa i to zapewne było powodem, że Fingal i Kerntop odnosili się zawsze do siebie ze sztywną uprzejmością.

Lacy Kerntop wybierał się również tego wieczoru na przyjęcie do Freda Fergussona i myśli jego były bardzo podobne do myśli Lorda Dillinga. Lacy Kerntop był człowiekiem twardym i świadomym swych celów. Nie zastanawiał się nigdy dotąd nad tym, czy kocha Maud. Czy ma jej wzajemność. To były rzeczy drugorzędne. Pierwszorzędną rzeczą było to, że Lacy'emu Kerntopowi Maud się podobała, że pragnął jej i chciał ją posiadać. Żądza posiadania była w duszy Lacy'ego Kerntopa rozrosła do najwyższych granic. Życie było dlań walką, nieubłaganą walką o to, by osiąść to, czego każdorazowo zapragnął, by osiąść przedmiot swych pragnień nie dla jakichś dalszych celów, ale dla samej satysfakcji posiadania. W ten sposób właśnie pragnął, by Maud Fergusson stała się jego własnością.

Był naturą władczą i nieprzebierającą w środkach. Natura ta przemawiała już z rysów jego twarzy, rysów ostrych, surowych, mimo że twarz ta nie była brzydka. Kwadratowo ścięty podbródek i zaciśnięte wąskie wargi znamionowały szaleńczy upór w dążeniu do realizacji swych planów.

Lacy Kerntop miał zawsze oczy szeroko otwarte i dostrzegł szybko, że na drodze do zdobycia Maud Fergusson, stanęła mu przeszkoda w osobie Lorda Dillinga. Ten spokojny Anglik o usposobieniu marzycielskim i sentymentalnym budził w nim uczucie głębokiej pogardy. To nie był człowiek, który byłby zdolny oprzeć się jemu – Lacy'emu Kerntopowi.

Maud jednak znajdowała nieukrywane upodobanie w przebywaniu w towarzystwie Anglika. Nic dziwnego – kobiety są też marzycielskie i sentymentalne.

A zatem trzeba usunąć przeszkody!



Ogrody Freda Fergussona jaśniały różnokolorowymi lampionami, olśniewały bogactwem egzotycznej zieloności, gaikami palm, klombami kaktusów, murami żywopłotów, w których powystrzygane były przejścia w formie geometrycznych figur.

W mrokach nocy szmerzące cichymi strugami sztucznych strumyków, bijące w niebo alejami strzelistych topoli, rozświetlane wędrującymi światłami reflektorów o wszystkich kolorach tęczy – świetniejsze były z pewnością od słynnych ogrodów Semiramis. Fred Fergusson wiedział o tym i był z tego dumny.

Dziś ogrody Freda Fergussona rozbrzmiewały gwarem licznych głosów, szmerem licznych kroków. Goście Freda Fergussona rozproszyli się po rozległym parku – rozbijając się na drobne grupy.

Sir Percy Dilling szedł u boku Maud Fergusson z aciznymi alejami ogrodów. Jakoś tak się złożyło, że odłączyli się od wszystkich i pozostali sam na sam z sobą i z pięknem gwiazdzistej nocy.

W jej mrokach rysowały się olbrzymie bloki drapaczy chmur jak upiorne cienie, stojące na straży miasta. Wielka kopuła mieszcząca grób Neda Harrissona jarzyła się nad miastem milionem żarówek i krzyżem czterech ramion reflektora, ramion, które zdawały się opierać o strop ciemnego nieba.

Sir Percy i Maud szli obok siebie w milczeniu. Nie wiedzieli nawet,

jak i kiedy słowa zamarły im na wargach i nastąpiło między nimi owo milczenie. Nie mogło jednak być ponad to nic w świecie bardziej wymarzonego.

Maud podniosła na towarzyszącego jej mężczyznę gorące, namiętne oczy brunetki. Przypatrywała się regularnemu, czystemu rysunkowi profilu jego twarzy. Na wargach dziewczyny wykwitł jakiś zagadkowy uśmiech.

– O czym pan myśli, Sir Percy?

Zapytany drgnął, wyrwany z zadumy i spojrzał na dziewczynę.

– O niczym, Miss Maud. Noc jest tak piękna, że uległem zupełnie jej czarowi.

– I zapomniał pan zupełnie o mej obecności.

– Nie, ona właśnie dlatego jest tak piękna, że podziwiam jej urok wraz z panią.

– Jeszcze jeden komplement, Sir Percy?

Szli topolową aleją bramowaną gęstwą żywopłotu. Srebrne, zimne promienie księżyca kładły długie cienie drzew na żwir alei. Sir Percy pochłaniał wzrokiem kształtną postać dziewczyny.

– Noce takie nazywają poeci nocami miłości, nocami zakochanych.

– Czy tę noc chciałby pan nazwać *naszą* nocą?...

Sir Percy zadrżał. W głosie Maud brzmiała, jakby ledwo dostrzegalna ironia. Chciał odpowiedzieć, lecz Maud przystanęła nagle i uniosła w górę ręce, by poprawić uczesanie ciężkich włosów, czarnych jak skrzydła kruka. W ruchu tym sprężyły się i wychyliły nieco spod głęboko wyciętej sukni pełne, kształtne pagórki dziewczyczych piersi.

– Czy wie pan, że Lacy Kerntop nazwałby mnie chętnie swoją.

Sir Percy skinął głową. Nie mógł przemówić słowa.

– Czy i na to nie ma pan żadnej odpowiedzi?...

– Decyzja leży tylko w rękach pani.

– Albo w rękach drugiego mężczyzny...

– Miss Maud!...

Przystąpiła do niego bliżej i oparła mu rękę na ramieniu.

– Jestem ubogim wygnańcem z zamorskich krajów, a pani jest dziedziczką milionów...

– Ale jesteś tym, którego kocham. Człowieku bez energii! Czyż koniecznie się uparłeś, by mnie pierwszą zmusić do wyznania?

Stała przy nim tak blisko, że czuł ciepło bijące od jej młodego ciała, zapach silnych perfum odurzał go i mieszał mu myśli.

– Maud!...

Objął ją i przycisnął do siebie.

Dwoje pełnych, pysznie toczonych ramion otoczyło mu szyję. Gwiezdne niebo zawirowało mu w oczach – widział tylko dwie gwiazdy płonących oczu Maud. Małe usta o rozchylnych wargach, podobnych do dwu purpurowych płatków róży ujrzał tuż przy swej twarzy.

– Percy!...

– Maud!...

Całował ją z wybuchem długo tłumionej namiętności. Topole strzelające w niebo swą smukłością, zadumane w księżycowej poświacie, były cichymi świadkami ich miłości.

Naraz w poszyciu topolowej alei rozległ się jakiś szmer. Maud i Sir

Percy odsunęli się nagle od siebie. Nastrój pierzchnął. Przed nimi jakby spod ziemi wyrosła barczysta sylwetka Lacy'ego Kerntopa w nienagannie skrojonym wieczorowym stroju.

Skłonił się wytwornie obojgu, zachowując zupełny spokój, choć pojawił się tak nagle, że musiał być niewątpliwie świadkiem ich pocałunków. Lacy Kerntop był bowiem mistrzem w panowaniu nad sobą i nigdy nie okazywał uczuć, jakie nim targały.

– Przepraszam, że przeszkadzam – głos jego brzmiał chłodno. – Szukam pani już od dłuższej chwili. Mister Fergusson pragnie pomówić z panią.

Wargi Maud drgnęły, na ustach zawisły jej pełne ironii słowa, ale powstrzymała się:

– Do zobaczenia, Sir Percy! – rzekła znacząco, po czym odwróciła się szybko i skręciła w przecznicę alei.

Dwaj mężczyźni pozostali sami. Przez chwilę mierzyli się milcząco wzrokiem. Lord Dilling uznał, że nie powinien pierwszy przerywać tego milczenia.

Lacy Kerntop dobył papierosa i zapalił go powoli. Jedynie większa ostrość rysów znamionowała złość, jaka nim targała.

– Panie Dilling! – ozwał się wreszcie lekceważąco. – Widziałem wszystko, postępowałem krok w krok za wami...

– Czy podsłuchiwał pan również?

Lacy Kerntop odpowiedział na to pytanie uśmiechem:

– Nie, panie Dilling. Przecież nie trudno było się domyślić, o czym mówiliście z sobą.

– Czy to wszystko, co mi ma pan do powiedzenia?

– Na teraz, tak! Pan wie o moich zamiarach co do Miss Fergusson?...

– Pańskie zamiary to pana prywatna sprawa.

Sir Percy uczynił ruch, jakby chciał się oddalić. Kerntop jednak powstrzymał go gestem ręki.

– To obchodzi nas obu. Chciałbym spotkać się z panem jutro lub pojutrze, by pomówić z panem w pewnej sprawie.

Anglik ściągnął brwi w namyśle.

– Zgadzam się – rzekł krótko.

– A więc godzinę omówimy telefonicznie.

Skłonili się sztywno. Dilling pozostał w miejscu, gdzie przed chwilą spijał z ust Maud rozkosz pierwszych pocałunków. Był oszołomiony biegiem wypadków.

Maud kocha go! Maud zarzuciła mu ramiona na szyję i podała do pocałunków swe usta! Ogromne, nieznanne dotąd uczucie szczęścia rozsiadło mu się w piersiach. Chciał biec i wołać do tych cichych topoli, do klombów kwiatów, do uśpionych drapaczy nieba, do wszystkich mieszkańców Theopolis, do ludzi wszystkich ziem i części świata o swym bezmiernym szczęściu. Czuł jeszcze na zgorączkowanych wargach pocałunki Maud Fergusson. Cóż wobec tego szczęścia znaczył Lacy Kerntop ze swymi pretensjami? Jakimże był atomem w ogromie uczuć, jakie nim targały.

Przez chwilę namyślał się, co ma robić z sobą dalej. Czy przyłączyć się do bawiącego się towarzystwa? Czy wrócić do siebie? Wybrał to drugie. Chciał pozostać sam z myślami o swym szczęściu. Skierował swe kroki w stronę pałacu.

Lacy Kerntop szedł tymczasem alejami parku, mnąc w ręku niedopałek z papierosa. Przed chwilą widział, jak Maud, którą przyzwyczał się w swych myślach uważać za swą własność – zarzucała w topolowej alei ramiona na szyję innego mężczyzny, jak tuliła do niego swe ciało, jak oddawała mu pocałunki. Przyjdzie czas, gdy i Maud odpokutuje mu za to, ale wpierw musi się policzyć z tym paniczem z Anglii, wpierw musi zozydzić go w oczach dziewczyny i odsunąć go od niej...

– Mister Kerntop!

Podniósł głowę. Naprzeciw niego stała Maud Fergusson. W oczach jej płonęły ognie gniewu.

– Słucham, Miss Maud...

– Mój ojciec nie wzywał mnie wcale. Co miał ten żart oznaczać?

Lacy Kerntop brwi ściągnął:

– To nie był żart, Miss Maud. Nie mogłem znieść widoku pani w ramionach innego mężczyzny. W ramionach... tego... żebraka.

– A więc szpiegował mnie pan? To zupełnie patrzy na pana. Co zaś do tego... żebraka, jak pan nazywa Lorda Dillinga – kocham go, Mister Kerntop, i sądzę, że będę należała tylko do niego.

– Będzie pani należała do mnie.

Dumnym ruchem odrzuciła w tył głowę:

– Zdaje mi się, że pan jest w błędzie.

Przystąpił do niej bliżej i mimo oporu ujął ją za rękę. Bliskość jej, jej duma – pogarda, którą go smagała, odbierały mu przytomność. Żądza zalewała mu mózg falami gorącej krwi. Głos jego drżał namiętym szeptem:

– Nie, ja się nie mylę. Chcę, by pani była moją i będziesz nią, Miss Maud. Pragnę pani i żyć nie mogę bez niej... Mogę ci dać to, czego nigdy nie będzie ci mógł dać Dilling. Mów, czego żądasz? Wiesz, że w przyszłości czeka mnie urząd gubernatora Theopolis. Drwię sobie z rywalizacji Fingala!... Będiesz panią Theopolis. Gdy zechcesz, rozwalę mury tego miasta i zrównam z ziemią te gigantyczne drapacze nieba. Dla twego kaprysu... dla twego uśmiechu... pocałunku! Rozkaż, a rzucę pod twe stopy wszystkie skarby, jakie spoczywają w trezorach banku Theopolis; rozkaż, a zdobędę dla ciebie wszystko złoto całego świata. Dość już tkwimy, od wieków, w ciasnych murach Theopolis, jak szczury w kryjówkach, odcięci od świata. Za to, w czym tak hojna jesteś dla Dillinga, podbiję dla ciebie wszystkie ziemie. Musisz być moja, Maud...

Jego twarz poszarzała i ściągnęła się spazmatycznie. Jego ręka ścisnęła kurczowo dłoń dziewczyny.

Wyrwała mu rękę z uścisku. Głos jej brzmiał chłodno jak wiew północnego wichru:

– Pan oszalał najwyraźniej, Mister Kerntop. Proszę mnie pozostawić w spokoju.

Odeszła wolnym krokiem. Poszarpane strzępy chmur przesłoniły na chwilę księżyc i aleja okryła się mrokiem. W mroku tym jasną plamą rysowały się śniade plecy Maud wychylające się z głęboko wyciętej sukni. Lacy Kerntop patrzył jak urzeczony za tą jasną oddalającą się plamą.

Przesunął ręką po czole i westchnął. Maud zniknęła już dawno za zakrętem ścieżki, a on stał i błędził wokół wzrokiem. Czuł nieodpartą

potrzebę wyładowania w jakikolwiek sposób uczucia gniewu i zawodu, jakie wypełniało jego piersi.

Wzrok jego padł na rosnące po obu stronach alei rabaty tygrysich orchidei. Podbiegł ku nim i ująwszy ich tyle oburącz, ile tylko mógł, wydarł je z gleby, po czym z uczuciem dzikiej rozkoszy jął drzeć, miąć i szarpać królewskiej piękności kwiaty.



Szef policji Theopolis, pułkownik Allan Shacall, skinął głową majorowi Murphy'emu na znak, że może odejść.

Raport był skończony. Sidney Clark Murphy schował do teki papiery i skłoniwszy się lekko swemu przełożonemu, opuścił jego gabinet.

Pułkownik Shacall patrzył za odchodzącym z wyrazem złośliwej ironii w wyblakłych, zmęczonych oczach. Nie krył się wcale i nie krył się z tym nigdy, że szczerze nie lubił majora Sidneya Clarka Murphy'ego.

Istnieje typ starszych ludzi, którzy nie znoszą, gdy widzą, jak w zawodzie, jaki uprawiają, wyrastają obok nich nowe, młode talenty i poczynają górować nad nimi energią i sprytem i naturalną wyższością młodości. Allan Shacall był właśnie starszym panem owego typu. Przez całe życie nie znosił wokół siebie ludzi, którzy przewyższali go pod jakimkolwiek względem, a wraz z nadchodzącą starością, ta zawiść potęgowała się z każdym miesiącem, z każdym dniem niemal.

Allan Shacall pamiętał doskonale czasy, gdy był uznany za geniusza policyjnego Theopolis. Od czasu tego minęły już jednak lata i Allan Shacall osiągnąwszy największą godność w hierarchii policyjnej miasta, jaka w ogóle była do uzyskania – zestarzał się i zakrzepł na swym urzędzie. Obok niego i pod jego okiem wyrastały nowe

policyjne talenty, wśród których na pierwsze miejsce wybił się major policji Sidney Clark Murphy.

To były jedyne powody, dla których Allan Shacall nie lubił młodego majora policji. Dlatego też niemałą satysfakcją było dlań udzielenie Murphy'emu nagany, za to, że jako dowódca eskorty policyjnej pozwolił odbić sobie, przez zamaskowaną bandę, skazanego na śmierć zbrodniarza. Pułkownik Shacall był zbyt mądrym człowiekiem, by nie zrozumieć doskonale, że w warunkach, w jakich zaszedł ów wypadek, Clark Murphy był bezsilny, niemniej jednak z prawdziwą satysfakcją udzielił mu surowego napomnienia.

Clark Murphy tymczasem skierował swe kroki na koniec korytarza, gdzie mieściło się laboratorium policyjne.

Stanął przed drzwiami okrytymi pluszowym obiciem i nacisnął dwukrotnie taster dzwonka. Mała czerwona lampka umieszczona nad klamką rozbłysła za chwilę światłem, co oznaczało, że drzwi są otwarte i że Murphy może przekroczyć próg sanktuarium Romana Czarzy.

Clark Murphy wszedł szybko do wnętrza i znalazł się w rozległej laboratoryjnej sali pełnej retort, fiolek, słoików i flaszek, ampułek i dziwacznych przyrządów. W całym laboratorium panował genialny nieład, a jednak Roman Czarza i jego dwu pracowników wiedzieli zawsze dokładnie, co gdzie się znajduje.

Na szmer otwieranych drzwi, Roman Czarza obrócił lekko głowę, by upewnić się, kto wchodzi, po czym wrócił do swej roboty. Ubrany w biały ceratowy kitel był najbardziej charakterystyczną postacią głównej komendy policji, jeżeli już nie całego Theopolis. Miał opinię

dziwaka, ale zarazem mówiąc o nim wielu ludzi nie wahało się użyć słowa: *geniusz*.

Był to mężczyzna lat z górą czterdziestu, o surowych rzeźbionych rysach twarzy, wysoki i barczysty. Z rysów jego biła dostojność i powaga, jaką wielka wiedza i nauka opromienia twarze swych apostołów, a długie, bujne włosy białe jak śnieg okrywający wierzchołki gór, i siwa rozwichrzona broda dopełniały charakterystycznej całości. Najciekawsze jednak były oczy Czarzy, oczy, które zdawały się nie patrzeć na otaczający go świat, lecz gdzieś w głębie swego mózgu, w otchłanie swych myśli. Nikt nigdy nie widział śmiejącego się Romana Czarzy. Roman Czarza uśmiechał się tylko, a wówczas jego oczy ożywiały się i stawały się słodkie jak oczy kobiety.

Nie było gałęzi wiedzy, której by nie znał genialny Polak, nie było myśli tak odważnej, której by się uląkł, przed którą by się cofnął. Toteż Roman Czarza był Edisonem Theopolis, a na swym stanowisku oddawał olbrzymie usługi w walce ze zbrodnią.

Clark Murphy stanął w milczeniu za plecami Czarzy i czekał cierpliwie. Czarza odnosił się Murphy'ego z ojcowską serdecznością, major policji wiedział jednak, że nie należy mu przeszkadzać w pracy i że trzeba czekać cierpliwie, aż Roman Czarza odezwie się pierwszy.

Jakoż chwila ta nadeszła. Roman Czarza uniósł pod światło ampułkę z białym płynem i rzekł na pół do siebie na pół do Murphy'ego.

- Zdaje mi się, że znalazłem!
- Co pan znalazł, panie Czarza?

Polak obrócił na niego spokojne sfinksowe oczy i uśmiechnął się:

– Nie wiem jeszcze jak to nazwać. Jest to serum antyzmęczeniowe. To będzie nowa broń w walce ze zbrodnią, póki *Związek Tysiąca* nie eskamotuje mego wynalazku.

– Wynalazł pan to serum?

– Tak! Zgadnij, ile już godzin obywam się bez snu?

– ?

– Z górą czterdzieści. Jak wiesz, sen pochłania trzecią część naszego życia. Usuwa on nagromadzone w organizmie toksyny ogromnie dla niego szkodliwe. Toksyny te wywołują zmęczenie i ogólne wyczerpanie organizmu. Otóż moje serum niszczy owe toksyny i pozwala człowiekowi przez wiele godzin obywać się bez snu.

– A więc sen przestanie istnieć... pozostanie – snem tylko!

– Niestety, niezupełnie. Nie można nadużywać mego serum w nieskończoność, bo grozi to komplikacjami, których powodów jeszcze nie odgadłem. Ale już od dziś będziemy mogli kraść wiele godzin snu, bez szkody dla zdrowia i jasności myśli... Pomyśl, jakie ogromne atuty daje to w ręce detektywowi idącemu śladem zbrodni.

Clark Murphy ruszył ramionami:

– Ilekroć wychodzę z tego laboratorium ogarnia mnie zmęczenie. Pan dokonuje tu, w ciszy tego gabinetu, rzeczy istotnie wspaniałych, daje nam pan cudowne zaiste wynalazki – a ja, ja nie mogę osiągnąć tego, co postawiłem sobie za cel mego życia...

– Mówisz o *Związku Tysiąca*?

– Tak! O tej zbrodniczej organizacji, która, jak polip, rozrosła się w Theopolis. Doszło do tego, że nie wiem, czy połowa Rady Dwunastu

nie wchodzi w skład tej organizacji, czy gubernator nie stoi na jej czele, czy ty nie jesteś jej podporą?... Czy ja bezwiednie do niej należę?... W głowie mi się po prostu mąci.

Roman Czarża ruszył ramionami:

– Zbrodnia jest stara jak świat, jest częścią natury ludzkiej... Zbrodnia i przestępstwo, to tylko zaostrenie, do najwyższych granic, formy walki o byt... Zbrodnia zresztą nie zawsze jest drogą do szczęścia, do bogactwa, do posiadania. Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że zbrodnia może być, dla tej lub owej jednostki, szczęściem sama w sobie? Ned Harrisson, który sądził, że tylko nędza jest matką przestępstwa, mylił się ogromnie. Nie docenił, nie wziął pod uwagę emotywności zbrodni. Nie wszyscy popełniają ją dla zdobycia czegoś, czego inaczej zdobyć nie mogą. Bardzo wielu zbrodniarzy morduje dla specyficznej, im tylko znanej rozkoszy mordowania.

Roman Czarża urwał i zamyślił się. Palce jego szarpały długą, siwą brodę.

– Widzisz, Clark, ludzie dawniej sądzili, iż zbrodnia zniknie, gdy wrośnie poziom oświaty i dobrobytu powszedniego. Mylili się, jak mylił się Ned Harrisson. Stało się wręcz przeciwnie. Zbrodnia nie zamierała, ale wzrastała... Zdobycze techniki stały się bronią sprawiedliwości w walce ze zbrodnią, ale świat zbrodni szybko potrafił zastosować do walki ze sprawiedliwością te same zdobycze wiedzy. Co więcej, zbrodnia zorganizowała się i zorganizowała się świetnie. Tak zresztą być musiało. Zbrodniarz-jednostka nie ma już dziś szans wymknięcia się z rąk sprawiedliwości, która jest zorganizowaną siłą. Dlatego też poczęły się tworzyć związki

przestępców, których celem była obrona swych członków. Wiadomo, że dziesięciu ludzi lepiej opracuje plan włamania, rabunku czy morderstwa, niż jeden człowiek... Gdyby nie organizacja, cóż uchroniłoby Harty'ego od szubienicy? A tak – Harty ukrywa się gdzieś w Theopolis, a ty... ty wracasz z raportu od pułkownika Allana Shacalla, który miał okazję powiedzieć ci kilka przykrych słów...

Clark Murphy skinął głową.

– To samo, co pan, mówił mi niedawno o organizacji zbrodni prokurator Ralf Fingal.

Czarza, który pochylił się znów nad swym warsztatem, uniósł żywo głowę.

– Ralf Fingal? Strzeż się go, Murphy!...

– Dlaczego?

– Straszna jest pycha tego człowieka. Marzy o godności gubernatora... Czy zauważyłeś, że brwi jego łączą się i zrastają u nasady nosa?

– Czy mam się go strzec, z powodu tych zrosniętych brwi?

Rzucił te słowa żartobliwie, ale na twarzy Czarzy malowała się niezmacona powaga, gdy odpowiedział:

– Właśnie, z powodu tych brwi...

– ??

– Statystyka wykazuje – ciągnął dalej Czarza – że ludzie o brwiach tak zrosniętych ukrywają w czeluściach swych dusz zbrodnicze instynkty.

– Nonsens! Tak mówi statystyka?

– Tak mówi i nie myli się. Mógłbym dać ci moc przykładów, ale

powiem tylko jeden. Przeklętej pamięci Atlant Call miał brwi zrośnięte nad nosem.

Nastąpiła chwila milczenia.

Roman Czarza odwinął rękaw koszuli i wprowadził igłę pod skórę. Nacisnął tłoczek, wpierając w swe ciało nową dozę nowo wynalezionej substancji.

– Wlewa pan zwątpienie w mój umysł, Mister Czarza. – Pierwszy ozwał się Clark Murphy. – Dowodzisz mi niezniszczalności zbrodni, a ja marzę o tym, by ją wypalić w Theopolis, tak jak wypala się rozpalonym żelazem tworzącą się w ranie gangrenę.

Uczony, który dawno już myślał o czym innym, spojrzał na niego z łagodnym pobłażaniem.

– Czyń, co należy do ciebie... Skoro nie można zbrodni zniszczyć zupełnie, trzeba ją zmniejszyć do minimum... Ale nikt mnie nie przekona, by stryczek szubienicy był zdolny wyleczyć ludzi ze zbrodniczych instynktów. Kto wymierza karę śmierci – otwiera wrota nowym zbrodniom...

– Jesteś pan idealistą, Mister Czarza. Kara śmierci to straszna konieczność, ale konieczność.

Roman Czarza nic nie odpowiedział na te słowa. Nie widział już może wcale obecności majora Murphy'ego.

– Wszystko się zmienia na świecie – mówił do siebie półgłosem. – Człowiek wznosi coraz wyższe budowle, pnie się coraz wyżej na rozgałęzione drzewo wiedzy... buduje coraz to śmielsze plany, idzie ciągle naprzód na szczyty kultury i cywilizacji. Ale są tylko dwie rzeczy niezmiennicze. Takie same dziś, jakimi były za czasów piramid,

za czasów faraonów, za czasów Ofiru, Niniwy i Babilonu. Na imię im
zbrodnia i miłość. Jedna i druga jest odwieczną i wieczną...

IV

– Ro, Ro! bądźże grzeczne nieżnośne stworzenie!

Clark Murphy wymówił te słowa do istoty, z której posiadania był od dawna dumny.

Istota ta nie była jednak człowiekiem, lecz młodym, okazałym orangutanem, niezmiernie zadowolonym z życia, z pobytu w Theopolis i ze swego prawego posiadacza i właściciela – majora policji Sidneya Clarka Murphy’ego.

Ro i Clark Murphy byli dobrymi przyjaciółmi i nieodłącznymi prawie towarzyszami.

Clark Murphy pędził życie odosobnione i samotne i mało udzielał się towarzysko. Ro był przedmiotem nieustannej jego radości i dostarczał mu niezliczonej ilości rozrywek.

Ro przywiązany był do niego jak pies. Ro codziennie zaścielał jego tapczan i napuszczał do wanny wodę do kąpieli, badając dokładnie jej temperaturę swą kosmatą łapą. Ro puszczał w ruch wentylatory i wchłaniacze pyłu. Ro orientował się doskonale we wszystkich zakamarkach pięćdziesięciopiętrowego drapacza chmur, nie uznawał windy, uważając, że gdy się jest małpą, jest wielce miło wspinać się po schodach na trzydzieste piąte piętro – uwielbiał za to helikoptery, które tak szybko przenosiły go z dachu jednego na dach drugiego drapacza chmur.

Ro był jednym słowem niezrównany i Clark Murphy uważał, że brak mu tylko daru mowy, by być zupełnie podobnym do człowieka.

Ulice Theopolis tętniły życiem i wrzawą. Pod ziemią z głuchym łoskotem przebiegały wąskimi tunelami wagoniki elektrycznego metra. Na rogach ulic pracowały bez wytchnienia zewnętrzne windy, przewożące przechodniów na wyższe chodniki ulic wiodących, co dziesięć pięter, wzdłuż murów drapaczy chmur. Owe napowietrzne ulice były to jakby olbrzymie balkony ciągnące się na przestrzeni kilometrów.

Milcząco spełniały swą pracę wielkie wchłaniacze hałasu, z lekkim terkotem funkcjonowały filtry powietrzne. Od czasu do czasu nad kopułami miasta przesuwiał się, jak cień, szerokoskrzydły helikopter.

Szerokimi ulicami mknęły samochody poruszane siłą elektryczności.

Clark Murphy wydostał się z pulsujących życiem dzielnic miasta i skierował swe kroki ku rozległym parkom miejskim, gdzie jeszcze Ned Harrison nagromadził wszelkie skarby roślinne całego świata. Parki Theopolis były wyspami wspaniałej zieloności. Obok gaików palm rosły w nich królewskie dęby, obok wielkich kwiatów magnolii i storczyków wszystkich barw i gatunków – skromne polne maki, o których też nie zapomniano. Spadając z pochyłości pagórków, szemrały cicho strumienie, fontanny biły w niebo, rozpryskując wodę na miliony kropelek, a w każdej z nich przeglądało się słońce siedmiobarwną tęczą. Uszeregowane w szpalery eukaliptusy dumwały o swej dalekiej ojczyźnie, a na wszystko obojętne kaktusy, kuliste lub długoramienne, wygrzewały się w promieniach słońca.

Park przecinały setki ścieżek i dróg automobilowych, na których straży stały melancholijne cyprysy.

Ro postępował po lewej ręce pana, o pół kroku za nim, tak jak przystoi dobrze wychowanej małpie, która zgłębiła zupełnie i pojęła zasady dobrego tonu. Przechadzka po parku to była jego najmilsza rozrywka. W mózgu zrodzonej w niewoli małpy istniały atawistyczne tęsknoty do zieloności i bujnej roślinności puszczy i dziewiczych lasów, wśród których jego małpi ród wiódł życie pełne dzikiej swobody. Pyszne parki Theopolis przypominały mu coś, czego nigdy nie widział, nigdy widzieć nie miał, a co przecież było mu bardzo, bardzo bliskie...

Clark Murphy szedł wolno alejami parku, od czasu do czasu, zwracając się do Ro z jakimiś uwagami, których orangutan wysłuchiwał, wpatrzony w swego pana pełnymi inteligencji oczyma. Pora była południowa i park był prawie opustoszały. Clark Murphy zamyślił się znowu nad sprawą, o której myślał od długiego czasu, nad sprawą wykrycia i zniszczenia zbrodniczej organizacji, która nazywała siebie *Związkiem Tysiąca*. Pochwycić za gardło zorganizowaną zbrodnię i zniszczyć ją – oto było marzenie Clarka Murphy'ego. Lecz naraz, może pod wpływem tej ciszy, która ogarniała park cały i zdawała się iść przed nim, za nim i obok niego, odczuł nagłe zniechęcenie do tematu swoich rozważań. Przyszło mu na myśl, że życie, jakie pędzi, jest ogromnie jednostronne, że płynie spokojnym wprawdzie, lecz jakże wąskim korytem. W życiu jego nie było dotąd żadnych wielkich wzlotów, żadnych wielkich ideałów – była tylko codzienność pełnionej, zresztą wzorowo, policyjnej służby,

było ciągle spotkanie się twarz w twarz ze zbrodnią i przestępstwem. Były emocje walki o prawo. Lecz czy naprawdę walczył dlatego, że była to walka o prawo, czy też walczył dla samej przyjemności tej walki, dla pochwał, rozkazów, dla awansów i wysokiej gaży majora głównej komendy policji? Znał dotąd wąski tylko szlak życia, życia doskonale zrównoważonego, życia pozbawionego trosk i niepokojów, lecz i pozbawionego silniejszych targających duszę przeżyć. Nigdy dotąd nie stanęła na drodze jego życia kobieta a wraz z nią miłość. Nigdy...

Cichy szelest przejeżdżającego samochodu przerwał mu rozmyślenia. Podniósł oczy na małe spacerowe torpedo, istne filigranowe cacko.

Prowadziła je młoda dziewczyna. Ro dojrzał samochód i wydał okrzyk radości. Zanim Clark Murphy zdołał się zorientować w sytuacji, orangutan szarpnął się, wrywając z ręki majora łańcuszek, za który był prowadzony. Torpedo jechało bardzo powoli. Ro dopędził je bez trudu i z ponownym okrzykiem zadowolenia wskoczył do auta, sadowiąc się na wolnym siedzeniu.

– Ro! Ro!

Przerażona dziewczyna zahamowała wóz, lecz małpa nie zdradzała wcale złych zamiarów. Clark Murphy co tchu pospieszył na ratunek i po chwili był już przy samochodzie.

– Niech się pani nie obawia! – uspokajał dziewczynę. – Ro jest grzeczny i nikomu nie robi krzywdy. Rozbrykał się dziś trochę...

Dziewczyna uśmiechnęła się:

– W pierwszej chwili przestraszyłam się porządnie, teraz jednak

widzę, że Ro jest zupełnie łagodny.

Clark Murphy zwrócił się do małpy.

– No, wyłaż z wozu!

W spojrzeniu orangutana była najgłębsza skrucha. Skulony przenosił kolejno wzrok, to na Murphy'ego, to na dziewczynę.

– Wyłaż! – powtórzył Murphy.

I wyciągnął po niego rękę. Wówczas jednak stała się rzecz dziwna. W oczach małpy zamigotały iskierki wesołości. Uchwycił jedną łapą rękę oficera policji, drugą, ruchem nieznoszącym sprzeciwu, pochwycił rękę dziewczyny i nim mogli się zorientować, Ro połączył ich ręce, kładąc drobną dłoń dziewczyny w dłoń Murphy'ego.

Potem zadowolony z tego, co zrobił, wyskoczył z wozu i uderzywszy Murphy'ego łapą po ramieniu, wydając radosne okrzyki, z piorunującą szybkością wdrapał się na wierzchołek rozłożystego drzewa i wykonał z niego zgrabne salto mortale.

Matową twarz dziewczyny pokrył ciemny rumieniec. Clark Murphy pochylił głowę. Ponieważ jednak chłodna dłoń dziewczyny spoczywała jeszcze w jego ręku, pochylił się i ucałował tę dłoń, wymieniając równocześnie swe nazwisko.

Podniosła nań spojrzenie jasnych oczu.

– Pan jest major Sidney Clark Murphy? W takim razie znam pana bardzo dobrze...

– ??

Skinęła głową:

– Tak! Przecież nie ma w Theopolis procesu, w którym by pan nie występował jako świadek oskarżenia... nie ma przestępstwa

wykrytego, w którego wykryciu nie brałby pan udziału. A więc, jak pan widzi, znam pana od dawna, chociaż nie widziałam pana dotąd nigdy.

Objęła badawczym wzrokiem jego smukłą sylwetkę. Był przystojnym szatynem, o rysach nieco zbyt delikatnych jak na mężczyznę. W oczach jego czaiła się męska energia, moc i zdecydowanie. Zauważyła, że miał ładne kobiece usta i spostrzeżenie to ubawiło ją.

– Zostawię tu wóz – zdecydowała, wyskakując z torpeda. – Czy zechce mi pan towarzyszyć w przechadzce po parku?

Clark Murphy skinął głową. Daleki był od dania przeczącej odpowiedzi. Ro, który znowu znalazł się przy nich, otrzymał surowe polecenie pilnowania wozu, po czym Murphy wraz z nieznajomą zniknęli w labiryncie uliczek parkowych.

Pierwsze lody zostały szybko przełamane i już po dziesięciu minutach rozmawiali jak starzy znajomi. Clark Murphy obejmował wzrokiem wdzięczną sylwetkę nieznajomej, starając się odgadnąć kim jest ta blondynka o niebieskich oczach, o rysach twarzy tchnących spokojem i łagodnością. Roztaczała wokół siebie jakiś dziwny urok białego kwiatu i gdy powrócili do samochodu, był już zupełnie w mocy tego uroku. Wydawała mu się bardzo bliska i mimo, że poznał ją przed niecałą godziną, miał wrażenie, jakby ją znał od długich, długich lat.

– A teraz rozstaniemy się – rzekła, podając mu rękę.

Ucałował tę rękę, po czym zapytał:

– Czy będę miał szczęście spotkać jeszcze kiedy panią?

Roześmiała się:

– Może pan dostąpi tego szczęścia. Będę jutro w parku o tej samej porze.

Chciał o coś pytać, lecz zawahał się. Spojrzała w jego wyraziste oczy i pojęła o co mu chodziło.

– Wiem, o czym pan myśli! – powiedziała. – Zastanawia się pan nad tym, kim jestem.

Skinął głową:

– Odgadła pani! Pani wie, kim ja jestem... ja zaś...

– Uważa pan, że mi to daje jakąś przewagę nad panem. I po cóż panu moje nazwisko, gdy jutro zobaczy mnie pan znowu?... Tak będzie... ciekawiej. O ile zaś chodzi panu o moje imię, niech mnie pan nazywa... na przykład... May... Czy podoba się panu to imię?

Skinął głową. Uśmiechnęła się do niego z dziwną jakąś słodyczą, po czym wsiadła do małego torpeda i odjechała.

Clark Murphy patrzył za nią długo. Przyszło mu na myśl, że znając numer samochodu dziewczyny, mógłby bardzo łatwo dowiedzieć się, kim jest jego znajoma, lecz porzucił tę myśl natychmiast. *Tak będzie ciekawiej!* – powiedziała mu owa May i Clark Murphy przyznał jej w duchu rację. *Tak będzie... ciekawiej!*

Zamyślony opuścił park. Ro był dnia tego po raz pierwszy niezadowolony ze swego pana, który był dziwnie roztargniony i – zdaniem Ro – zbyt mało poświęcał mu uwagi.



Lacy Kerntop w nocnej piżamie podszedł do telefonu, który zadzwonił gwałtownie. Ujawszy w rękę słuchawkę, nacisnął dźwignię telewizora. Lecz na białej matowej szybcie nie wyłoniły się kontury i rysy twarzy mówiącego. Aparat telewizyjny szwankował już całe popołudnie i teraz widocznie zepsuł się na dobre.

– Trzeba będzie zadzwonić do biura napraw – pomyślał z uśmiechem Kerntop, podnosząc słuchawkę z widełek.

– Hallo?

– Hallo!

– Numer 13? Hasło?

– **Skarby.**

– Odzew: **Theopolis** – brzmiał męski głos w słuchawce telefonu. –
Mówi Pierwszy ze Związku Tysiąca.

Uśmiech znikł z warg Lacy'ego Kerntopa. Słuchawka lekko zadrżała mu w ręku. Przy telefonie był ów tajemniczy wódz organizacji *Związku Tysiąca* – człowiek, którego nie widział nigdy nikt ze sprzysiężonych, człowiek tajemniczy, który patrzył tysiącem oczu, słuchał tysiącem uszu, który mówił rzadko, ale dotrzymywał zawsze tego, co powiedział. Lekki niepokój odbił się w rysach Kerntopa. Mimowolnie wyprostował się, jak prostuje się żołnierz, gdy usłyszy głos swego dowódcy.

– Słucham! – rzekł wreszcie.

– Lacy Kerntop – zabrzmiał w telefonie surowy głos. – Lacy Kerntop, ostrzegam cię, knujesz zdradę!

– Jestem wiernym członkiem *Związku*...

– Jesteś oszustem i kłamcą!... Dziś, w południe, był u ciebie Wollstead... Odpowiedz: był, czy nie?

Pot wystąpił na czoło Kerntopa.

– Był – odpowiedział twierdząco.

– Znane mi jest każde słowo, które padło w waszej rozmowie z Wollsteadem. Wollstead proponował ci, by wyłamać się spod mej władzy i samemu zagarnąć skarby Banku Theopolis. Czy tak?

– Tak.

– Wollstead jest już w tej chwili przeszłością. Ciało jego leży na Czteryście Osiemdziesiątej ulicy napowietrznej... Czy chcesz podzielić los jego?

– Odrzuciłem propozycję Wollsteada.

– Znowu kłamiesz. Zgodziłeś się na nie chęcią. Kerntop, tym razem ostrzegam, następnym razem uderzę.

Lacy Kerntop chciał coś powiedzieć, ale z tamtej strony z hałasem zawieszono słuchawkę.

Członek Rady Dwunastu stał chwilę bez ruchu, po czym połączył się z centralą.

– Mówi numer 93-487, dzielnica V... Z jakiego numeru dzwoniło przed chwilą do mnie.

– Jestem uprawniona na danie odpowiedzi w takich sprawach tylko osobom urzędowym – brzmiała odpowiedź telefonistki.

Kerntop przełknął ślinę.

– Mówi Lacy Kerntop, członek Rady Dwunastu. Proszę o odpowiedź!

Otrzymał ją po chwili.

Dzwoniono z rozmównicy publicznej z dzielnicy X.

Kerntop odrzucił ze złością słuchawkę. Chwiejnym krokiem podążył do sypialnego pokoju. Twarz jego była szara jak popiół cygara, gdy usiadł ciężko na krawędzi łóżka.

Starał się opanować swe nerwy, uczucie wszechpotężnego lęku, pod wpływem którego drżała w nim każda fibra.

A więc cały misternie opracowany plan został odkryty. Wollstead, ów pełen życia, tryskający zdrowiem człowiek, nie żył już. Przejrzano jego zdradę i usunięto go w ciągu kilku godzin. On – Kerntop – otrzymał tymczasem tylko ostrzeżenie. Co nastąpi po tym ostrzeżeniu? Lacy Kerntop wiedział, jak *Związek Tysiąca* karze zdrajców lub nawet tych, którzy uznani zostali za niepewnych. Co jakiś czas znajdowano rankiem na jednej z ulic miasta trupa z przestrzeloną piersią, z liczbą 1000 wypaloną na martwym czole. Policja i mieszkańcy Theopolis wiedzieli, co to oznaczało, wiedzieli, że to jeden ze *Związku Tysiąca* chciał dopuścić się zdrady, stracił zaufanie w oczach tajemniczego przywódcy i dlatego – zginął.

Lacy Kerntop sięgnął po karafkę z odświeżającym napojem i wypił łąpczywie szklankę. Starał się myśleć spokojnie i metodycznie. Niewątpliwie rozmowa jego z Wollsteadem została podsłuchana. Ale jak?

Kerntop zrozumiał nagle, iż w mieszkaniu jego musi być gdzieś

umieszczony mikrofon, dzięki któremu przejmowano każde słowo, jakie wypowiedziane zostało w jego mieszkaniu.

Na przypuszczenie to zdrętwiał i przez chwilę daremnie starał się uspokoić.

Wstał z łóżka i rozpoczął dokładne poszukiwania w mieszkaniu. Badał miejsce koło miejsca, aż wreszcie znalazł to czego szukał. Nad framugą drzwi umieszczone było małe kwadratowe pudełeczko, od którego biegły dwa cienkie jak nitki druciki.

– Mikrofon!

Poszedł do sypialnego pokoju, wrócił po chwili z ostrymi nożyczkami i przeciął druciki, po czym zdjął aparacik i zniszczył go z satysfakcją.

Odczuł lekką ulgę. Wrócił do łóżka i usnął zupełnie wyczerpany nerwowo.

Gdyby był szukał dokładniej odnalazłby drugi mikrofon, mieszczący się pod jego biurkiem. Pozwalał on przywódcy *Związku Tysiąca* informować się dalej o każdym słowie wypowiedzianym w mieszkaniu Lacy'ego Kerntopa.

VI

Następne trzy dni, po poznaniu w parku dziewczyny, która kazała mu się nazywać imieniem May – minęły majorowi Sidneyowi Clarkowi Murphy'emu jak piękny, czarowny sen.

May dotrzymała słowa. Była punktualna i dnia następnego, i dwu dni dalszych. Clark Murphy oczekiwał godzin spotkania z sercem bijącym radością a zarazem niepokojem oczekiwania.

A jeżeli nie przyjdzie, a jeżeli nie zobaczy jej już więcej?

Nie wyobrażał sobie zupełnie, jakby to być mogło, by miał już więcej nigdy nie zobaczyć tej jasnowłosej dziewczyny o cudnym szafirze oczu, o ustach jakby proszących o pocałunki, o twarzy tchnącej spokojem.

Czy była ładna?

Clark Murphy nie zastanawiał się nad tym ani przez chwilę. Podobała mu się bardzo, a więc była najpiękniejszą z kobiet na świecie.

Obawy jednak jego, że May nie przyjdzie, że jej już nie ujrzy, okazały się – jak dotąd – płonnymi.

Przychodziła chętnie i jak starzy przyjaciele włączyli się po zakamarkach parku, dumali wspólnie w cienistych alejach. Śmiali się wspólnie do wyłaniającego się zza chmur słońca. Karmili wspólnie białe łabędzie, które cicho pod pływały do kwiecistych brzegów stawu.

Była to prawdziwa sielanka, której niepokojącego uroku dodawało incognito dziewczyny, która kazała mu się nazywać imieniem May.

Clark Murphy, który dość rzadko przebywał w życiu w towarzystwie kobiet, które mu dotąd były zupełnie obojętne, obawiał się z początku, iż szybko braknie im tematów do rozmów w czasie tych wspólnych spacerów. Ale tematów nie brakło. Okazało się, że jest ich tak wiele, że narastają z taką szybkością, że nigdy chyba nie osiągną swego kresu.

Gdy rozstawał się z nią po trzecim spotkaniu, odważył się ponowić pytanie, które go dręczyło:

– Kim jesteś, May?

Potrząsnęła górami jasnych włosów i uśmiechnęła się.

– Znów pytasz mnie o to? Jestem May; May, która codziennie spotyka się z tobą... Czy ciąży, ci tak tajemnica, którą się otaczam?

Przytaknął ruchem głowy.

Ujęła go za rękę. W oczach jej pojawiło się zamyślenie. Jęła mówić wolno i z namysłem:

– Jestem May, po cóż chcesz więcej wiedzieć... Czy nie wystarczy ci to, że co dzień spotykam się z tobą, że rozmawiasz ze mną, że możesz patrzeć mi w oczy... bo wiem, że ci się podobam, majorze Murphy. Nie trzeba wszystkiego w życiu odzierać z uroku tajemniczości... Może, gdybyś się dowiedział, kim jestem – straciłabym w twoich oczach połowę uroku, jaki mnie obecnie otacza. Niech zostanie tak jak jest, póki zechcę, by tak było.

– Czy zdaje sobie pani z tego sprawę, May, że gdybym chciał, wiedziałbym już dziś wieczór wszelkie szczegóły o pani?

– Wiem. I cóżby panu z tego przyszło? Zaspokoiłby pan swą ciekawość, a mnie... nie ujrzałby pan więcej.

Powiedziała to z uśmiechem, ale Murphy znał już zbyt dobrze dziewczynę, by wątpić, że dotrzymałaby groźby.

– Do zobaczenia, May! – rzekł, pochylając się do jej ręki.

– Do zobaczenia, Murphy.

Przy tym pożegnaniu nie przypuszczali ani przez chwilę, w jakich okolicznościach zobaczą się następnym razem.

Clark Murphy po powrocie z parku zastał na swym biurku list. Zawierał on kilka słów zaledwie, ale słowa te były rewelacją.

Związek Tysiąca ostrzega majora Sidneya Clarka Murphy'ego, by nie odważył się od tej chwili widywać się z dziewczyną imieniem May.

Clark Murphy odczytał ten list kilkakrotnie i wzruszył ramionami. Zrazu przyszło mu na myśl, że list może być mistyfikacją, lecz po krótkim namyśle uznał, że przypuszczenie to nie ma cech prawdopodobieństwa. To nie była mistyfikacja, ale groźba przesłana mu faktycznie przez organizację, która wszystkich przestępców Theopolis w żelazne ujęła karby.

Major policji uśmiechnął się do siebie. Niechby związek, już nie tysiąca, ale miliona, próbował mu przeszkodzić w widzeniu kobiety, którą – kochał.

Kochał?... Clark Murphy dopiero w tym momencie uświadomił sobie, iż kilkudniowa zaledwie znajomość z May doprowadziła do tego, że był już zakochany w dziewczynie.

Nie, nikt nie przeszkodzi mu w spotykaniu się z nią, w kochaniu jej ... Ale, co znaczyła ta groźba? Czy dziewczyna należała do *organizacji*? Czy może... może była kochanką lub narzeczoną, jakiegoś wpływowego członka *Związku Tysiąca*.

Odczuł dziwną gorycz i ból w sercu na to przypuszczenie. Nie, May, jego May, nie mogła być złą kobietą.

Rozmyślenia jego przerwane zostały stukaniem do drzwi. Clark Murphy nacisnął guzik otwierając w ten sposób „oko” peryskopu stojącego na jego biurku. W oku tym ukazała się twarz mężczyzny, twarz pełna inteligencji, okolona czarną brodą. Clark Murphy zdjął palec z czarnego guzika i oko peryskopu zamknęło się znowu. Major policji przeniósł palec na czerwony guzik i drzwi gabinetu otworzyły się. Mężczyzna z czarną brodą wszedł do gabinetu. W rękę dźwżył skórzaną teczkę pełną papierów.

– Co nowego, Mister Evans? – zagadnął go przyjaźnie Clark Murphy.

Dzień był upalny i duszny. Ten, którego Murphy nazwał Evansem, dobył chusteczki i otarł nią spocone czoło.

– Czy jesteś sam?

Major policji wskazał mu z uśmiechem kąt gabinetu, gdzie na miękkiej macie spał smacznie orangutan Ro.

– Zupełnie sami. Ro nie będzie nam chyba przeszkadzał? Śpi jak zabity i nie posiada daru mowy.

– Przynoszę panu ważne, bardzo ważne wieści, Mister Murphy – ręce urzędnika policji drżały lekko, gdy opierał je na skórzanej tece. – W tej tece są rezultaty mojej miesięcznej pracy.

Począł szukać po kieszeniach kluczyka, którym zamknął zameczek teczki, lecz nie mógł go znaleźć.

– To dziwne! – szepnął do siebie. – Przecież schowałem go tu, do tej kieszonki.

Clark Murphy uczynił niecierpliwy gest ręką:

– Mniejsza z tym. Otworzymy tekę później. Niech mi pan zda teraz raport ustny. Dałem panu dwa tygodnie na przeprowadzenie dokładnych podsłuchów; prosił mnie pan, gdy one minęły o dalsze dwa tygodnie... Jakiż jest rezultat tych prac?

– Mister Murphy! Odkryłem rzeczy straszne... Theopolis stoi wobec straszliwego wewnętrznego wroga, który przygotowuje się do decydującego ataku...

– To wiemy. Mówi pan o *Związku Tysiąca*...

– Tak. W tece tej znajdzie pan dokładny raport z dokonanych podsłuchów telefonicznych oraz jakiś tajemniczy plan znaleziony podczas rewizji mieszkania zamordowanego Wollsteda... Powiem krótko: *Związek Tysiąca* dąży do doszczętnego obrabowania Banku Theopolis, do zdobycia skarbów Neda Harrissona i do owładnięcia miastem... Wollstead knuł zdradę i dlatego zginął...

Clark Murphy, przechylony w fotelu, słuchał z uwagą. Rysy jego twarzy skupiły się i zastygły.

– Niech pan mówi dalej, Mister Evans... Kto należy do spisku... Kto stoi na jego czele?...

– Ta teka zawiera kilkanaście nazwisk ludzi, z którymi rozmawiał nieznajomy mianujący się *Pierwszym ze Związku Tysiąca*.

– Czy wie pan kim jest ów nieznajomy?

– Niestety, nie. Gdybym to wiedział! Nie znają go nawet członkowie sprzysiężenia. Nikt z nich nie widział go nigdy na oczy, nikt z nich nie rozmawiał z nim nigdy inaczej jak przez telefon... Listy, jakie dostają od czasu do czasu, listy ze wskazówkami, pisane są na coraz to innych systemach maszyn do pisanania... Gdy chce się uchwycić twarz jego na płycie telewizora, ukazuje się twarz w masce, co uniemożliwia odgadnięcie jego rysów. Nie mówi nigdy z prywatnego numeru telefonu, lecz zawsze z publicznych rozmównic...

Sidney Clark Murphy przerwał agentowi policji ruchem ręki:

– W rozmównicach tych pułkownik Shacall polecił zainstalować tajne aparaty fotograficzne.

– Większość tych aparatów zostało popsutych przez tajemnicze jakieś ręce... Tam, gdzie aparaty te są czynne – znajdujemy po bytności nieznanego klisze zupełnie spalone... W jaki sposób czyni to *Pierwszy ze Związku Tysiąca* jest dotąd tajemnicą.

Mister Evans przesunął ręką po zmęczonym czole.

– Głowa mnie boli – rzekł. – Kupiłem w aptece środek przeciw temu bólowi... Czy pozwoli mi pan zażyć go tutaj...

– Proszę bardzo...

Mister Evans dobył z kieszeni torebkę papierową, zawierającą kilka proszków w opłatkach i nalewając wody do szklanki, mówił:

– Teraz najważniejsze, Mister Murphy... Jednym z asów sprzysiężonych jest wicedyrektor Banku Theopolis... Mister Lacy Kerntop.

Major policji zdumiony opadł na oparcie fotelu.

– Co pan mówi, Mister Evans?

– Jest tak, jak mówię.

– Kerntop jest przecież członkiem Rady Dwunastu...

Mister Evans położył na język kapsułkę i popił ją małymi łykami wody.

– Nauczyłem się już niczemu nie dziwić, Mister Murphy... Gdyby mi powiedziano, że pan lub że Roman Czarza jest członkiem szajki... uwierzyłbym.

Twarz agenta pokryła się nagłą bladością:

– Znajdzie pan tu – mówił dotykając teki ręką – dokładnie spisana rozmowę Kerntopa z nieznajomymi. Zmęczony jestem... udzieli mi pan teraz, Mister Murphy... kilku dni urlopu.

– Zasłużył pan najzupełniej na wypoczynek.

– Jeszcze jedno, Mister Murphy... *Pierwszy z Tysiąca* pała straszliwą ku panu nienawiścią... Grozi panu jakieś wielkie niebezpieczeństwo... Nie wiem, dlaczego pana nienawidzi, nie wiem, co grozi panu, ale...

Evans pochwycił się nagle za piersi i wydał głuchy jęk. Twarz jego przybrała nagle wyraz cierpienia i stała się szara jak twarz konającego.

– Ten proszek... Mister Murphy, jestem otruty...

Major policji porwał się z fotela, lecz nim zdołał zbliżyć się do agenta – Evans zwalił się z siedzenia na podłogę.

– Mister Evans, co z panem?...

– Dosięgła mnie ręka... nieznajomego...

Clark Murphy zrozumiał natychmiast, co się stało. Należało za wszelką cenę ratować Evansa, który był jego prawą ręką.

Poskoczył ku płycie z uszeregowanymi guzikami i nacisnął

równocześnie drugi pierwszego i pierwszy drugiego rzędu. Oznaczało to alarm wewnętrzny.

Następnie chwycił karafkę wody i całą zawartość jej wylał na twarz Evansa, który leciał mu już przez rękę.

Clark Murphy uchwycił słuchawkę wewnętrznego telefonu, chcąc wezwać Czarzę, lecz centrala nie zgłaszała się.

Nie było sekundy czasu do stracenia. Powtórzył sygnały alarmowe i wybiegł na korytarz, na którego końcu mieściło się laboratorium Czarzy.

Gdy w chwilę później przybył wraz z Czarzą do gabinetu, było już w nim trzech dyżurnych oficerów policji nachylonych bezradnie nad nieruchomym ciałem agenta.

Czarza pochylił się i szukał pulsu Evansa. Uczynił przeczący ruch głową.

– Nie żyje! – rzekł.

Podszedł do biurka i ujął torebkę, w której pozostały jeszcze dwa proszki.

– To nie przypadek – ozwał się – to zbrodnia. Evansowi sprzedano nie dwa proszki na ból głowy, lecz dwa proszki strychniny. Więc *Związek Tysiąca?*...

Murphy głową skinął:

– Evans zebrał druzgocące dowody przeciw...

Wzrok jego padł na miejsce, gdzie leżała teka i naraz słowa zamarły mu na ustach.

Teka zniknęła...

Clark Murphy chwycił się za głowę:

– Teką, gdzie jest teka Evansa?...

Zbudzony wrzawą orangutan podniósł się ze swej maty i rozejrzał się dokoła, po czym podszedł do trupa i począł go obwąchiwać, podnosząc co chwilę na swego pana mądre oczy.

Okazało się, że gdy oficerowie policji przybyli do gabinetu Murphy'ego – teki już nie było na miejscu, gdzie położył ją Evans. Przeszukano dokładnie cały pokój, ale nie znaleziono teki z cennymi wynikami prac otrutego agenta.

VII

Przez dwa długie, wlokące się nieznośnie dni żył Lacy Kerntop w nieokiełznanym strachu. *Pierwszy ze Związku Tysiąca* był z niego niezadowolony. *Pierwszy ze Związku Tysiąca* przejrzał jego najskrytsze plany... Słowa, które usłyszał przed dwoma dniami przez telefon – równały się wyrokowi śmierci. *Pierwszy ze Związku Tysiąca* był nieubłagany, nie znał litości, szczególnie litości dla zdrajców.

Wollstead już nie żył, on – Lacy Kerntop – został ułaskawiony. Ale na jak długo? Jeżeli nieznajomy pozostawił go jeszcze przy życiu – potrzebował widać jego usług. Ale co się stanie, gdy Lacy Kerntop stanie się zbędny nieznajomemu?...

Lacy Kerntop popadł w zupełną apatię. Wiedział, że śmierć krąży wokół niego jak jastrząb krążący w podniebnych szlakach, nim spadnie jak grom na gołębia... że czai się w każdym załomie murów, czyha na rogu każdej ulicy... że jak potwornie wielki czarny pająk rozsnuwa wokół niego swe sieci.

Przez dwa dni oczekiwał jej z rezygnacją – lecz przywódca *Związku Tysiąca* nie dopełniał na nim wyroku.

Powoli otucha wracać poczęła do serca i mózgu Kerntopa.

Był przecież wicedyrektorem Banku Theopolis, członkiem Rady Dwunastu – był prawie niezbędnym *nieznajomemu* w realizacji jego planów. Nie! Nie umrze stanowczo!... Będzie żył, bo żyć chce, bo żyć

musi.

Równocześnie zrodził się w nim bunt. Kim był ów nieznajomy, mieniący się *Pierwszym ze Związku Tysiąca*, ów człowiek, który wiedział o każdym czarnym jego postępku, ów człowiek, który o władnął nim zupełnie i rozkazywał mu i groził, jak pan swemu najniższemu słudze?... Ach, gdyby zedrzyć maskę okrywającą twarz tego człowieka, gdyby można było wydrzeć mu tajemnice jego potęgi, zniszczyć i zdeptać tego wielokrotnego mordercę, który nie cofając się przed niczym, szedł naprzód do wytkniętego celu, którym było – opanowanie Theopolis.

Wraz z tym buntem dawne plany, ponętne i kuszące propozycje Wollsteada, przyszły mu znowu na myśl. Wystrychnąć *nieznajomego* na dudka, pozornie pomagać mu w zdobyciu skarbów Neda Harrissona i w opanowaniu miasta, a we właściwym momencie zagarnąć samemu jedno i drugie i zniszczyć *Pierwszego ze Związku Tysiąca* – oto, co było treścią tych planów.

W realizacji ich jedna rzecz – najważniejsza – stała na przeszkodzie. Nie wiedział kim był *Pierwszy ze Związku Tysiąca*, nie wiedział jak wygląda, nie znał go, tak jak nie znał go nikt w Theopolis. Trudna jest walka z cieniem, trudno jest uderzać w próżnię z nadzieją zwycięstwa... Lacy Kerntop postanowił więc wkraść się z powrotem w łaski *nieznajomego*, odzyskać jego zaufanie, wciągnąć w zasadzkę i zdemaskować lub... zabić i samemu stać się *Pierwszym ze Związku Tysiąca*. Wtedy otwartą będzie droga do skarbów Harrissona, do opanowania miasta przy pomocy członków *Związku*, który z pewnością i w hierarchii dostojników miejskich miał swych

zwolenników.

Wtedy nic już nie stanie mu na przeszkodzie w zdobyciu Maud – albo dobrowolnie będzie należała do niego, albo weźmie ją siłą.

Maud! Na myśl o niej pojał nagle, jak bardzo pragnie żyć, jak bardzo piękny i uroczy jest świat... Wywołał w swej wyobraźni jej czarowny obraz i zrozumiał, raz jeszcze, że jest to kobieta najbardziej przenień na świecie pożądana.

Nie kłamał, mówiąc jej wówczas w parkach Fergussona, że spaliłby dla niej Theopolis lub zrównał je z ziemią. Wówczas, kiedy nagłym swym zjawieniem w topolowej alei wyrwał ją z ramion Sir Percy'ego Dillinga, kiedy przeszkodził im w pocałunkach.

Lacy Kerntop zmarszczył brwi. Przypomniał sobie, że ma pomówić z Dillingiem w sprawie Maud. Wicedyrektor Banku Theopolis uznawał, że wszystkie drogi prowadzą do celu, i postanowił groźby pozostawić na ostatek. Porozumiał się natychmiast z Dillingiem i zaprosił go do siebie na popołudnie. Postanowił spróbować najpierw wobec Dillinga metody, którą stosował zawsze wobec ludzi nieznanym. Metodą tą było olśnienie swego przeciwnika bogactwem złota.



Sidney Clark Murphy po raz tysięczny i pierwszy rozważał co ma zrobić, jaką taktykę ma obrać w walce ze *Związkiem Tysiąca*. Znane mu już były zbrodnicze zamiary tajnej organizacji, wiedział, że Lacy

Kerntop jest jednym z członków sprzysiężenia – ale nie miał w ręku żadnych dowodów przeciw niemu, nie wiedział, kiedy *Związek Tysiąca* podjąć ma próbę opanowania miasta i skarbcza Banku Theopolis, nie wiedział wreszcie, kto jest wodzem organizacji. Tekę z bezcennym materiałem dowodowym zebrany przez tragicznie zmarłego Evansa, znikła bez śladu w ciągu tych kilku minut, na które opuścił gabinet, by wezwać Romana Czarzę na ratunek otrutemu. Gdyby dokumenty te znajdowały się w jego rękach, byłby natychmiast odbył konferencję z pułkownikiem Shacallem i spowodował aresztowanie Lacy’ego Kerntopa i tych członków spisku, których nazwiska ustalił Evans. Jakże mógł jednak bez żadnych dowodów, jedynie na podstawie przedśmiertnego raportu otrutego podstępnie agenta oskarżać Lacy’ego Kerntopa, który, jako członek Rady Dwunastu i wicedyrektor Banku Theopolis, był jednym z najwyższych dostojników miejskich? Wiedział, że oskarżenie takie skończyłoby się niechybnie jego dymisją... Mimo to Clark Murphy był przekonany, że Evans mówił prawdę.

Dzwonek telefonu ozwał się nagle. Zadzwoił krótko i ucichł.

Clark Murphy sięgnął ręką po słuchawkę i naraz drgnął. Czy możliwe? Czy się nie przesłyszał? Musiał zapytać, kto mówi, i usłyszeć powtórzenie pierwotnych słów, by uwierzyć, że mówi z nim ten, który nazywał siebie *Pierwszym ze Związku Tysiąca*.

– Tak, tu mówi Murphy... Proszę chwilę zaczekać.

Ręka Murphy’ego podniosła przekładnię na małej tarczce, przełączając głos mówiącego na głośnik, z którym połączony był aparat fonograficzny. W ten sposób każde słowo, które wypowiadał

nieznajomy, miało zostać utrwalone na płycie. Mogło to być w przyszłości ważnym materiałem dowodowym.

– Niech pan mówi! – ozwał się Murphy.

Przez głośnik padały słowa, mówione wolno i dobitnie:

– Majorze Murphy! Jest pan młodym człowiekiem i życie uśmiecha się do pana... Niech pan spełni, to, co panu powiem, a oszczędzę pana...

– Nie spełnię żadnej pana prośby, tym bardziej nie spełnię żądania.

– Niech pan słucha spokojnie, Mister Murphy. Chodzi o drobnostkę. Dziś, w południe, zmarł w pana gabinecie agent Evans... Musiał umrzeć, bo wiedział zbyt wiele. Miał on z sobą skórzaną tekę, która zawierała bardzo cenne dokumenty. Jeżeli dostanę tę tekę nienaruszoną, jeżeli da mi pan słowo dżentelmena, że nie zna pan jeszcze treści tych dokumentów – ocaleje pan od tego, co panu grozi...

– Teką ta zginęła.

Gdy tylko Murphy wypowiedział te słowa, zrozumiał natychmiast, że popełnił kapitalny błąd. Trzeba było dać nieznanemu do zrozumienia, że tekę tę ma w swym posiadaniu, trzeba było dać obietnicę oddania tej teki nieznanemu, a zarazem należało obmyślić taki sposób doręczenia mu jej, by *Pierwszy ze Związku Tysiąca* wpadł w nieuchronną zasadzkę.

Trzy niebaczne, mimowolnie rzucone słowa zniweczyły w jednej chwili możliwość powodzenia tego planu.

Głośnik umilkł na chwilę, jakby tam, przy aparacie rozmównicy, nieznajomy zdumiał się odebraną wiadomością i namyślał się, co ma czynić dalej.

– To niemożliwe! – zabrzmiał znowu ów głos. – Moi ludzie śledzili Evansa aż do wejścia do biur głównej komendy policji. Evans z całą pewnością wszedł z tą teką do pana gabinetu.

– Jest tak jak mówię – odparł Murphy, który starał się jak najbardziej przedłużyć rozmowę, sądząc, że rozmówca jego zdradzi się jakimś niebacznym słowem. – Dałbym sam dużo za to, by wiedzieć, co stało się z tą teką.

Ten, który z nim rozmawiał, namyślał się znowu przez długą chwilę.

– Nie wierzę! – rzekł wreszcie, ale w głosie jego brzmiało pewne wahanie.

– Niestety, nie mam możliwości dowieść prawdy słów moich – odparł z lekką ironią Clark Murphy.

– Mister Murphy, jeżeli teka ta jest w rękach pańskich, niech pan uczyni to, co teraz powiem. Dziś, z zapadnięciem zmroku, będę przejeżdżał samochodem przez Aleję Neda Harrissona. Wóz mój zatrzyma się na rogu Alei Pokoju i zgasi światła. Niech pan wówczas albo sam, albo przez zaufanego człowieka, doręczy mi tę tekę.

Clark Murphy chciał coś odpowiedzieć, lecz z tamtej strony odłożono słuchawkę. Wyłączył głośnik i zadzwonił gwałtownie. Wbiegł dyżurny sierżant.

– Sierżancie Gyp! – zawołał Murphy. – W tej chwili obstawić tajnymi wszystkie publiczne rozmownice. Przy każdej po dwu. Zmiana co trzy godziny. Rozkaz ten potwierdzą panu na piśmie. Po wydaniu tych zleceń powróci pan tu do mnie. Aha... trzeba posłać kogoś po skórzaną tekę zwyczajnych rozmiarów. Takiego koloru jak

teka Evansa. Pamiętajcie, ta, co to zawsze z nią paradował.

Sierżant Gyp wyszedł. Clark Murphy opadł ciężko na fotel. Myślał szybko i gorączkowo. Wiedział, że zbliża się decydująca chwila walki ze *Związkiem Tysiąca*. Należało się spieszyć, bowiem termin, w którym *Związek* chciał opanować miasto, mógł być już niedaleki.

Po chwili sierżant Gyp powrócił, przynosząc żadaną tekę. Clark Murphy udzielił mu krótkiej instrukcji.

– Sierzancie, trzeba wypełnić tę tekę papierami. Weźmiecie dwudziestu ludzi dobrze uzbrojonych. Każecie im czuwać w pobliżu narożnika Alei Harrissona i Alei Pokoju... Sam będzie pan czuwał na narożniku alej i oczekiwał na auto, które zjawi się na skrzyżowaniu ulic, zatrzyma się i zgasi światła. Wtedy podejdziecie do wozu i podacie tekę człowiekowi, który będzie wóz prowadził... Równocześnie oświetlicie mu twarz latarką i zaalarmujecie ludzi... W aucie będzie jechał przywódca *Związku Tysiąca*... Cała ta rzecz stanie się po zapadnięciu zmroku. Gdy dobrze przeprowadzicie rzecz całą, czeka was odznaczenie.

– Kto ma objąć komendę nad ludźmi?

– Przybędę sam na miejsce zaraz, gdy mrok zacznie zapadać. Pokieruję akcją, pan tylko ma za zadanie wszczać alarm, wręczając tekę.

Sierżant skłonił się i opuścił gabinet, Clark Murphy zakrył twarz dłońmi i namyślał się przez chwilę. Postanowił wreszcie wobec Lacy'ego Kerntopa zastosować metodę zaskoczenia, która dawała czasami doskonałe wyniki.

Z tym postanowieniem opuścił gmach głównej komendy policji.

VIII

Człowiek, który rozmawiał z Murphym, mieniąc się *Pierwszym ze Związku Tysiąca*, odłożył słuchawkę i poprawił czarną maskę, która osłaniała szczelnie całą twarz. Następnie ujął znowu słuchawkę aparatu i polecił połączyć się z numerem telefonu Lacy'ego Kerntopa.

– Mister Kerntop?

– Przy telefonie.

– Mówi *Pierwszy ze Związku Tysiąca*...

– Hasło?

– **Złoto...**

– Odzew: **Harrissona**. Lacy Kerntop, mam dla ciebie zlecenie.

– Jestem na rozkazy.

– Komu, poza tobą wiadome jest, jak otwierają się skarbcce Banku Theopolis?

Lacy Kerntop zwinął się pod ciosem tego pytania, jak wąż pod uderzeniem stalowego pręta.

– Znam sposób otwierania skarbcza – odparł wymijająco.

– Wiem, że ty znasz – mówił nieznajomy w kabinie telefonicznej, uśmiechając się pod maską. – Pytam, kto zna prócz ciebie?... Od czasu zamachu Icklanda na skarbcce Rada Dwunastu ustaliła tajny regulamin otwierania i zamykania skarbcza. Tajemnice otwierania skarbcza znają dwie osoby prócz ciebie... Ale osoby te wybiera Rada Dwunastu w

tajnym głosowaniu i nikt w mieście nie zna ich nazwisk. Jesteś członkiem Rady Dwunastu – a więc wiesz, kto przez Radę został wybrany strażnikiem skarbcza – poza tobą.

Myśli jak wichry przelewały się przez mózg Kerntopa. Jeżeli zdradzi nazwiska dwu strażników skarbcza stanie się niepotrzebny straszliwemu nieznajomemu, umniejszy swoje szanse. W obecnej sytuacji on jeden mógł pomóc *Pierwszemu ze Związku Tysiąca* w dostaniu się do skarbców.

Lacy Kerntop wybrał drogę pośrednią:

– Doszły mnie wiadomości o podsłuchu telefonów... Nie mogę mówić przez telefon.

– Jestem nieznany nikomu i nie obawiam się podsłuchów... Lacy Kerntop, czy odpowiesz?

– Nie mogę, chyba w rozmowie w cztery oczy... To moja najdroższa tajemnica.

Suchy uśmiech zadrgał w membranie.

– Boisz się, że wydrę ci tajemnicę i nie wynagrodzę cię za otrzymane wiadomości... Wszak wiesz, że po zdobyciu skarbcza nastąpi równy podział łupu między tysiąc członków *Związku*.

– Obawiam się podstępu.

– Dobrze więc! Zobaczysz mnie, Lacy Kerntop... Przedtem jednak musisz napisać list i pozostawić go na swym biurku. Oto jego treść... notuj sobie...

Członek Rady Dwunastu usłuchał i notował każde słowo. Naraz wstrzymał się:

– Szatanie! – zawołał.

– Lacy Kerntop, nie zmieniaj ani słowa w tym, co ci dyktowałem... Przepisz... połóż list na biurku... zniszcz brulion... Zobaczysz mnie dziś jeszcze...

– Szatanie! – powtórzył Kerntop.

Lecz tamten wyłączył już aparat. Lacy Kerntop pospieszył wypełnić rozkaz *Pierwszego ze Związku Tysiąca*. Napisał żądany list, położył go na swym biurku i spojrzął na zegarek. Za godzinę miał być u niego Lord Dilling.

I naraz ogarnął go strach, nagły, obłądny strach łośia tropionego przez wygłodzone stado wilków. Są ludzie, którzy mają przecucie nadchodzącej śmierci, mimo że są zupełnie zdrowi i nic nie wskazuje na ich bliski koniec. Lacy Kerntop doznał właśnie takiego nagłego olśnienia. Widział, że nie dożyje dnia następnego. Dlaczego, nie wiedział – wiedział tylko, że śmierć przekroczyła już progi jego mieszkania, że ukryła się w jakimś zakamarku i drzemie leniwie, by we właściwym momencie wyjść z ukrycia i ugodzić straszliwie.

Niezbyt jasno orientował się, co znaczył ów list, który mu kazał napisać nieznajomy, ale z jego treści domyślał się, że kryje się w nim jakiś piekielny podstęp.

Zimny pot wystąpił mu na czoło, rysy jego twarzy zwiotczały nagle, uczył, iż krew spływa mu z twarzy do serca.

Nie panując już zupełnie nad sobą, rzucił się do telefonu i zażądał połączenia z główną komendą policji. Chciał mówić z Clarkiem Murphym, opowiedzieć mu wszystko, wyznać nawet, iż był członkiem *Związku*, żądać policyjnej obrony... udać się pod osłonę prawa, które jeszcze niedawno zamyślał złamać.

Murphy'ego jednak nie było już w biurze, nie było również pułkownika Allana Shacalla. Lacy Kerntop zaś nie chciał zwierzyć się dyżurnemu oficerowi. Poprosił, by jak najrychlej powiadomiono majora Murphy'ego, że chce z nim mówić, po czym rzucił słuchawkę i włączył się bezcelowo po rozległym mieszkaniu.

Mały mikrofon, ten którego Lacy Kerntop nie zdołał odkryć, pozwolił przejąć jednemu z zaufanych *nieznajomego* rozpaczliwe dopytywanie się Lacy'ego Kerntopa o Clarka Murphy'ego.

Powiadomił natychmiast o tym swego szefa, który naraz przestał się uśmiechać.



Punktualnie o oznaczonej godzinie Sir Percy Dilling zjawił się w mieszkaniu Lacy'ego Kerntopa.

Na jego widok Lacy Kerntop uspokoił się nagle. Jego trwoga pierzchła, wróciło mu opanowanie i jasność myśli, a wraz z nim wróciła jego dawna buta.

Zapomniał o wszystkich swoich poprzednich troskach. Pamiętał tylko o tym, że stoi przed nim człowiek najbardziej znienawidzony – jego rywal, który w topolowej alei zamykał przed kilkoma dniami w swych ramionach Maud... jego Maud... który wpijał swe usta w jej słodkie koralowe wargi.

Oczy Lacy'ego Kerntopa pod wpływem tych myśli zwężyły się w małe szparki.

– Nie mogłem z panem mówić wcześniej, Sir Dilling – ozwał się tonem chłodnego wytłumaczenia. – Byłem niezdrów i nie przyjmowałem nikogo.

Młody człowiek skinął głową w milczeniu. Wiedział, że przedmiotem ich rozmowy będzie Maud i zastanawiał się, w jaki sposób Kerntop postawi kwestię.

Kerntop zaś namyślał się przez dłuższą chwilę, patrząc badawczo w twarz Anglika. Tchnęła ona prostotą i uczciwością tak wielką, że zawahał się nagle i począł wątpić, czy z człowiekiem tym zdoła

załatwić sprawę tak, jak był to sobie ułożył.

– Mister Dilling! – zaczął wreszcie. – Czy wie pan, że uważam Maud Fergusson za moją narzeczoną?

Dilling uniósł lekko ramiona w górę:

– Wiem, że Miss Maud Fergusson nie uważa pana za swego przyszłego męża.

Kerntop przygryzł wargi:

– Dziewczeta często grymaszą, lecz w końcu realizm życia zwycięża mrzonki... Mister Dilling, sama miłość nie daje szczęścia.

– Do czego pan zdąża, Mister Kerntop?

– Do tego, że pan nigdy nie będzie mógł dać tego pannie Maud, co ja... Że wreszcie, używając wszelkich sposobów, które by pozwoliły ją panu zdobyć, chce pan być zięciem nie tyle starego Fergussona, ile jego milionów.

– Mister Kerntop. Zabraniam panu...

Lacy powstrzymał go ruchem ręki:

– Nie wiem czy tak jest, ale ludzie tak to osądzą. Będzie pan mitycznym żebrakiem, w którym zakochała się królewna... Mister Dilling... chcę tę sprawę załatwić pokojowo... Pan jest ubogim wygnańcem... Gdybym za pokaźny czek mógł od pana uzyskać przyrzeczenie, że nigdy więcej nie zobaczy pan Maud ...

Sir Percy Dilling zerwał się z miejsca:

– To jest podłość! – zawołał, tracąc na chwilę panowanie nad sobą.

Twarz Kerntopa ściągnęła się gniewem. Chciał coś odpowiedzieć, lecz dzwonek u wejścia do mieszkania począł nagle hałasować.

Kerntop wyprostował się. Któż to mógł być? Nie oczekiwał nikogo.

Przypomniał sobie słowa nieznajomego: *Zobaczysz mnie dziś jeszcze i* pobladł na myśl, która przeszła mu mózg.

Zwrócił się uprzejmie do Dillinga:

– Niech się pan uspokoi i zaczeka chwilę. Załatwię się szybko z tą niespodziewaną wizytą.

Wyszedł, zamykając drzwi za sobą. Spojrzał w mały peryskop i uspokoił się naraz, a zarazem ogarnęły go nagle wątpliwości, czy ma postąpić tak, jak zamierzał.

Sir Percy Dilling pozostał sam. Drżał z oburzenia i opanował się całym wysiłkiem woli po kilku dopiero minutach.

Począł przechadzać się po pokoju, by skrócić sobie chwile oczekiwania na powrót Kerntopa. Niespodziewana wizyta przeciągała się jednak. Pięć... dziesięć... piętnaście minut.

Sir Percy Dilling zniecierpliwiony otworzył drzwi dzielące pokoje.

W gabinecie skurczony i zmięty jak łachman leżał... Lacy Kerntop. W piersi jego tkwił wąski sztylet z rodzaju tych, jakich używała policja Theopolis.

Gdy przerażony Dilling pochylił się nad nim, Kerntop żył jeszcze i uniósł się lekko na łokciach. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł. W ostatnim wysiłku umoczył palec we własnej krwi i chciał napisać coś na posadzce. Zdołał napisać jednak tylko jedną literę, gdy mrok przesłonił mu oczy i skonał.

Dillinga ogarnął nagły paroksyzm trwogi. Pochwycił kapelusz i wybiegł na korytarz domu. Nie czekając na windę, zbiegł szybko po nieużywanych prawie schodach drapacza chmur i oprzytomniał dopiero w swym mieszkaniu.

Literą, jaką na posadzce napisał Kerntop krwią własną – było duże M...



Sierżant Gyp począł się niecierpliwić i niepokoić. Zmierzch już nadchodził, a major Murphy nie zjawiał się jeszcze na skrzyżowaniu Alei Neda Harrissona z Aleją Pokoju.

Wreszcie postanowił, że dłużej czekać nie sposób i sam wydał dwudziestu wywiadowcom odpowiednie instrukcje. Coś ważnego przeszkodzić musiało Clarkowi Murphy’emu w punktualnym przybyciu.

Gdy stało się już zupełnie ciemno i gigantyczne lampy zapłonęły wzdłuż ulic Theopolis – Gyp śledził bacznie każde przejeżdżające auto.

W jednej ręce trzymał skórzaną tekę, w drugiej latarkę o silnej baterii.

Już!

Mały, kryty czarny wóz zatrzymał się na skrzyżowaniu ulic tuż u brzegu chodnika i zgasił natychmiast światło.

Okienna szyba auta opadła w dół. Sierżantowi Gypowi serce poczęło tłuc się w piersiach.

Elastycznym krokiem podszedł do samochodu. W jednej ręce teka, w drugiej latarka, w zębach alarmowy gwizdek.

Stanął na stopniu wozu i wyciągnął rękę z teką. Ktoś wziął od niego

tekę. W tej samej chwili Gyp oświetlił snopem światła twarz *Pierwszego ze Związku Tysiąca*. Ujrzał tylko czarną maskę, zza której patrzyły przenikliwe oczy.

Długi, przeciągły alarmowy gwizd. Wszyscy do auta.

Równocześnie jednak palący, żrący płyn oblał mu twarz i oczy. Zachwiał się i upadł z okrzykiem bólu. Dwudziestu agentów rzuciło się do auta, lecz nim je dopadli, wóz ruszył nagle i z szybkością wyrzuconego z procy kamienia znikł w Alei Pokoju...



Sidney Clark Murphy przybył na skrzyżowanie Alei Harrissona i Alei Pokoju w minutę po nieszczęśliwej próbie ujęcia przywódcy sprzysiężenia. Sierżant Gyp miał całą twarz poparzoną witriolem, pierwszą więc rzeczą, jaką Murphy uczynił, było polecenie przewiezienia go do najbliższego posterunku pomocy lekarskiej, gdzie również sam się udał. Uspokojony słowami lekarza, że Gypowi nie grozi utrata wzroku, lubo na całe życie zostanie zeszpecony – Clark Murphy pojechał do głównej komendy policji, gdzie zwykle o tej godzinie pułkownik Allan Shacall odbywał odprawę wieczorną wszystkich oficerów policji.

Allana Shacalla nie zastał jednak w głównej komendzie policji, natomiast porucznik Kent zakomunikował mu wiadomość o zamordowaniu Lacy'ego Kerntopa, członka Rady Dwunastu i wicedyrektora Banku Theopolis.

Jak to porucznik Kent zauważył, wiadomość ta zrobiła na Murphym wręcz wstrząsające wrażenie. Major policji nie mógł przez chwilę przemówić ani słowa, gdy zaś odzyskał nieco równowagę, począł gorączkowo pytać o okoliczności zbrodni.

Porucznik Kent niewiele jednak wiedział, wiedział tylko, że przed godziną posterunek XXX zaalarmował główną komendę policji wiadomością o zbrodni, że pułkownik Allan Shacall na zlecenie

przewodniczącego Rady Dwunastu, pana Mac Adoo, objął sam śledztwo, że przed chwilą wezwany został na miejsce zbrodni Roman Czarza, celem osobistego dokonania badań daktyloskopijnych, że wreszcie szef policji polecił skierować natychmiast Murphy'ego na miejsce tragicznego wypadku.

– Zgodnie z regulaminem – mówił porucznik Kent – dziś jeszcze zbierze się około północy Rada Dwunastu, by obrać nowego członka Rady w miejsce zamordowanego, regulamin bowiem Rady Dwunastu przewiduje, iż dłużej nad dwanaście godzin nie może być ona nieskompletowana.

Clark Murphy skinął głową. Był dziwnie roztargniony. Miał już opuścić gmach komendy policji, gdy porucznik Kent przypomniał sobie coś nagle.

– Jest tu list do pana, przyniesiono go na kilka minut przed pana przybyciem.

– List?...

Murphy'emu przyszło na myśl, że to może May pisze do niego, lecz okazało się, że był w błędzie. List był od *Pierwszego ze Związku Tysiąca*.

Chciał mnie pan podejść niegodnie – i dlatego dosięgnie pana moja ręka. Wiem już, że jest pan jednym ze strażników skarbcza Banku Theopolis. Jeżeli poda mi pan tajemnicę otwarcia skarbców, ocalę pana, nawet gdybyś był już u stopni szubienicy.

Clark Murphy zwrócił się żywo do Kenta.

– Kto przyniósł ów list?

– Jakiś posłaniec... Pokwitowałem odbiór...

– Jeżeliby jeszcze przyniesiono tu do mnie jakiś list – proszę aresztować jego oddawcę i przetrzymać do mej dyspozycji. Jadę teraz do mieszkania Kerntopa.

W mieszkaniu zamordowanego wrzała tymczasem gorączkowa praca. Badano dokładnie całe mieszkanie, gromadząc wszystko, co służyć by mogło za materiał dowodowy i przyczynić się do ujęcia zbrodniarza. Allan Shacall przesłuchał osobiście chłopców obsługujących windy i właśnie ukończył protokół ich przesłuchania, gdy jeden z agentów przyniósł mu list, niedokończony list, jaki znalazł na biurku zamordowanego.

Allan Shacall odczytał ów list i wyraz przykrego zdumienia odbił się na jego twarzy. W milczeniu oddał list Czarzy, który dokonywał zdjęć odcisków palców na rękojeści sztyletu. Uczony przebiegł oczyma treść listu i spojrzał na szefa policji, a w oczach jego był ten sam rodzaj zdumienia, jaki widniał na twarzy Allana Shacalla.

– Nic nie rozumiem! – rzekł wreszcie.

Pułkownik bębnił palcami po stole.

– To się tak dziwnie składa i kojarzy – ozwał się. – Owa litera *M* napisana przez konającego jego własną krwią... ten niedokończony list... ta obecność tutaj...

Czarza potrząsł grzywą siwych włosów:

– Owa litera *M* może być pierwszą literą imienia *May*, o której list mówi.

– To nie jest wyłączone. Ale może to być również pierwsza litera nazwiska mordercy, którego zamordowany znać musiał. Znaliśmy

wszyscy Kerntopa i sędzę, że w ostatnich sekundach przytomności był raczej bardziej skłonny myśleć o zemście nad tym, kto go zamordował, niż o kobiecie, którą kochał.

Czarza zamyslił się:

– Coś tu nie jest w porządku – rzekł. – Znaleźliśmy przecież brulion tego listu, a przecież tego rodzaju listy nie wymagają opracowania w brulionach.

Drzwi pokoju otworzyły się. Wszedł major Sidney Clark Murphy.

– Jestem, pułkowniku! – skłonił się.

Allan Shacall zdawał się unikać wzroku majora.

– Dobrze, że pan przyszedł, majorze. Mamy tu pewne niejasności, które pan zapewne nam wyjaśni.

– Z całą gotowością – odparł Murphy, zauważając równocześnie, że jeden z oficerów policji przygotowuje się do protokołowania. – Cóż, do licha! – pomyślał – czyżby podejrzewano mnie o to morderstwo. Co za nonsens!

Allan Shacall przewracał leżące przed nim papiery, jakby chcąc zyskać na czasie. Wreszcie podniósł głowę i spojrzał przelotnie na Murphy'ego.

– Co sądzi pan o tej zbrodni? – zapytał.

– Nie wiem co o niej sądzić! – odparł Murphy. – Lacy Kerntop według moich wiadomości był wmieszany w sprawę sprzysiężenia *Związku Tysiąca*. Czy nie sądzi pan pułkownik, że to może naprowadzi nas na to, kto popełnił zbrodnię?...

– ??

– Lacy Kerntop mógł uczynić coś, co nie zyskało aprobaty

nieznajomego... Nieznajomy wówczas uderza.

Allan Shacall wykonał przeczący ruch głową:

– Oskarżenie Lacy’ego Kerntopa o udział w spisku *Związku Tysiąca* jest bardzo ciężkim oskarżeniem, skoro zważymy, że obdarzony on był najwyższymi godnościami w mieście... Nie mamy ani źdźbła dowodów na to, co pan mówi.

– Miałem zaszczyt meldować panu pułkownikowi o tym, że teka zawierająca materiał dowodowy w sprawie *Związku Tysiąca* i roli Kerntopa zginęła w jakiś tajemniczy sposób w chwilę po zgonie Evansa.

Allan Shacall w milczeniu kiwał głową.

– Zamordowanie Kerntopa – ciągnął dalej spokojnie Murphy – spadło na mnie jak grom, tym bardziej, że na krótko przed popełnieniem zbrodni byłem tu, w mieszkaniu Kerntopa i rozmawiałem z nim.

– Wiemy o tym – odparł szef policji. – Zeznał to windziarz, który pana wiozł na górę.

– A zatem jesteśmy zgodni w... zeznaniach, bo zdaje mi się, panie pułkowniku, że jestem przesłuchiwany.

Mister Shacall uczynił ręką ruch gwałtownego przeczenia.

– Cóż znowu! Ustalamy po prostu wszystkie okoliczności towarzyszące ostatnim chwilom życia Mister Kerntopa. – Pułkownik Shacall był w głębi duszy zadowolony, że znienawidzony przez niego major policji znajduje się w niewyraźnej sytuacji. – Musimy jednak wiedzieć, majorze Murphy, jaki był cel pana wizyty u Kerntopa?

– Czysto służbowy. Evans był człowiekiem godnym zaufania. Skoro

oskarżał Kerntopa, musiało w tym coś być... Pan przecież wie, pułkowniku, że istnieje metoda zaskoczenia przestępcy, przerażenia go wiadomością, iż wiemy o nim wszystko, mimo że prawie nic nie wiemy, że w ten sposób można czasem spowodować, iż podejrzany, broniąc się, powie zbyt wiele i sam da nam do rąk dalszy materiał. W ten właśnie sposób chciałem poprowadzić moją rozmowę z Kerntopem.

– I poprowadził ją pan?

– Nie! Kerntop – co mnie bardzo zdziwiło – ucieszył się ogromnie na mój widok i oznajmił mi, że chciałby ze mną porozmawiać. Był wyraźnie wzburzony... Przeprosił mnie jednak, iż jest bardzo zajęty i ustalił ze mną godzinę wspólnego spotkania na jedenastą w nocy.

– I?...

– I to wszystko. Pożegnałem go i udałem się w Aleję Harrissona...

Tu Clark Murphy streścił swą rozmowę telefoniczną z *nieznajomym* i opowiedział podstęp z teką, który się jednak nie powiódł.

– Jedno jeszcze pytanie, Mister Murphy. Pan zjechał na dół windą?

– Nie, zeszedłem piechotą.

– Z dwudziestego czwartego piętra.

– Tak.

– A dlaczego to? ...

– Winda się popsuła. Nie miałem czasu czekać... Spieszyłem się na miejsce zasadzki, gdzie i tak się spóźniłem.

Allan Shacall poruszył się żywo.

– Clarku Murphy. Pan od dni kilku spotyka się z jakąś kobietą w parkach miejskich.

Major policji pobladł nagle:

– Co znaczy to pytanie?

– Niech pan odpowie: tak, czy nie?

– Tak.

– Czy pan wie, że do tej kobiety miał pewne prawa Lacy Kerntop?...

Clark Murphy uniósł ramiona. Nie mógł przemówić ani słowa.

Allan Shacall wziął w rękę list Kerntopa, ten który znaleziono niedokończony na biurku i podał go Murphy'emu.

Litery skakały przed oczyma Murphy'emu, gdy czytał:

Majorze Murphy!

Od dni kilku spotyka się pan codziennie z kobietą imieniem May, która rękę swą przyrzekła innemu. Nie wiem, czy wie pan, że tym „innym” jestem ja. Człowiek, który kradnie serce kobiety drugiego mężczyzny, nie zasługuje na miano człowieka hono

List wypadł z ręka Murphy'ego.

– Nic nie rozumiem – rzekł.

– Jak brzmi nazwisko kobiety, z którą się pan spotykał?

– Nie wiem! Poleciała mi, bym ją nazywał *May*...

– Nic więcej... Hm... o ile wiem mówiono wiele w ostatnich czasach o narzeczeństwie Kerntopa z Maud Fergusson. Czy znał ją pan przedtem?

– Nie widziałem jej na oczy; żyłem zawsze życiem mało towarzyskim.

Clark Murphy oparł głowę na dłoni... Więc *May* – to była Maud Fergusson... Ale, co znaczyło to wszystko, co działo się teraz... co

znaczyła ta indagacja pułkownika Shacalla?...

Kłęb zwichrzonych myśli Murphy'ego przerwał głos pułkownika.

– Możemy to zresztą stwierdzić konfrontacją.

Murphy wyprostował się:

– Nie, nie... nie chcę, by May, by Miss Fergusson była mieszana w tę sprawę.

Twarz Allana Shacalla stała się surową i groźną:

– Majorze Murphy! – ozwał się. – Czynię pana uważnym, że wszystkie dowody dotąd zebrane przemawiają przeciw panu. Ów list, który daje nam poznać, że mógł między panem a Kerntopem istnieć zatarg osobisty... odwieczny zatarg dwu mężczyzn o kobietę... Owa litera *M* napisana przez konającego palcem umoczoną we własnej krwi może znaczyć *May*, ale może i znaczyć *Murphy*... Cała sprawa z tą teką wygląda niewyraźnie... Możemy teraz w ogóle przypuszczać, iż teki tej nie było... Prócz pana nikt jej nie widział...

– Teką ta istniała. Rozmawiałem o niej, jak zaznaczyłem, z *Pierwszym ze Związku Tysiąca*... i nagrałem na płytę jego każde słowo... Mam przy sobie dwa listy od spiskowców. Grożą mi jakimś niebezpieczeństwem i jak widzę wciągnięty zostałem w jakąś potworną zasadzkę.

– Listy... Niech mi je pan pokaże.

Clark Murphy dobył z kieszeni oba listy, które otrzymał od tajnej organizacji. Naraz pobladł. Trzymał w ręku dwie białe kartki papieru, bez śladu pisma. Kartki wypadły mu z ręki.

– Sympatyczny atrament! – wyszeptał.

– Gdyby pan nawet przedstawił nam te listy, nie obaliłby pan faktu,

iż chciał pan wejść w prawa Kerntopa.

– Powtarzam, nie wiedziałem, że kobieta, która poleciła mi, bym ją nazywał *May*, to była Maud Fergusson.

Clark Murphy powstał i wyprostował się służbowo:

– Pułkownik Shacall, chcę oczyścić się ze straszego podejrzenia, proszę o zdjęcie odcisków moich palców.

Allan Shacall skinął w milczeniu głową i polecił wezwać Czarzę, który opuścił pokój na początku przesłuchiwania Murphy'ego. Allan Shacall znał dobrze Murphy'ego i mimo, że nie lubił go, uważał go za człowieka niezdolnego do zbrodni. Uczuł nagle pewne współczucie dla Murphy'ego, postanowił jak najprędzej obalić pozory przemawiające przeciw majorowi przy pomocy ekspertyzy daktyloskopijnej.

– Mister Czarza! – zwrócił się do wchodzącego Polaka. – Major Murphy żąda ekspertyzy odcisków palców. Nie mam nic przeciwko temu... to nawet jest konieczne.

Czarza spojrział na Murphy'ego przenikliwym wzrokiem, spojrzenia ich spotkały się i major wytrzymał spokojnie tę próbę wzroku. Czarza odetchnął.

Kochał tego młodego człowieka jak własnego syna. Ten wzrok nie mógł być wzrokiem zbrodniarza.

Clark Murphy spokojnie odcisnął umaczone w atramencie odciski palców na podanym mu arkuszu papieru. Następnie odpiął boczną broń i złożył ją na biurku przed szefem policji.

– Do czasu zakomunikowania wyniku ekspertyzy uważam się za aresztowanego.

– Będę gotów najdalej za godzinę – odparł Czarża, opuszczając gabinet i posyłając Murphy’emu spojrzenie pełne uznania.

Nastały dręczące chwile oczekiwania. Agenci policji snuli się po mieszkaniu, stąpając cicho. Wieść o tym, że podejrzenie padło na Murphy’ego jako na mordercę Kerntopa, podziałała na nich wstrząsająco.

Clark Murphy czekał spokojnie, nie zdradzając żadnego zdenerwowania. Allan Shacall odczytywał w milczeniu protokół... raz... drugi... trzeci.

Nareszcie!

Drzwi gabinetu otworzyły się. Staął w nich Roman Czarża. Z głową otoczoną siwymi włosami, z białą długą brodą wyglądał jak jakiś potężny prorok biblijny, który ma za chwilę uderzyć gromami przepowiedni i odsłonić tajemnicę przyszłości.

Wszyscy obecni zawiśli oczyma na jego wargach. Roman Czarża skierował się jednak nie do Allana Shacalla, lecz do Murphy’ego.

– Wybacz, Clark! – ozwał się z wzruszeniem, które u niego było rzeczą niezwykłą. – Jestem sługą sprawiedliwości i kłamstwo nie skalało nigdy warg moich...

– Pułkownik Shacall! – zwrócił się do szefa policji. – Odciski palców, które znalazłem na rękojeści sztyletu, są identyczne z odciskami palców majora policji Sidneya Clarka Murphy’ego... Nie mam więcej nic do powiedzenia.

Allan Shacall powstał:

– Majorze Murphy, czy słyszał pan wynik ekspertyzy?

Clark Murphy skinął głową, skurcz krtani nie pozwolił mu

przemówić.

Allan Shacall położył mu rękę na ramieniu.

– Aresztuję pana pod zarzutem zamordowania Lacy’ego Kerntopa na tle rywalizacji o kobietę. Czy ma pan coś do powiedzenia?

– Nie będę stawiał oporu... Jestem niewinny!... Nic z tego nie rozumiem...

– Będzie pan na rozprawie dowodził swej niewinności.

Gdy wyprowadzano Clarka Murphy’ego, by przewieźć go do więzienia – przypomniał sobie słowa listu, który pisał do niego *Pierwszy ze Związku Tysiąca*.

...ocalę pana, nawet gdybyś był już u stopni szubienicy.

Clark Murphy znał cenę swego ratunku.



Minęło dobre kilka godzin, nim Sir Percy Dilling zdołał ochłonąć z pierwszego wrażenia i uspokoić się nieco.

Wiedział, iż obowiązkiem jego jest udać się do władz sądowych i złożyć zeznania, iż był w mieszkaniu Kerntopa w chwili, gdy popełniono zbrodnię.

Wiadomość o aresztowaniu Murphy'ego pod zarzutem zbrodni, podana wszystkim mieszkańcom Theopolis przez radio, utrwaliła go w tym postanowieniu. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, by Clark Murphy mógł być mordercą. Uważał, że zeznanie jego powinno przyczynić się, chociażby w najmniejszej mierze, do odwrócenia od dzielnego majora policji straszego podejrzenia.

Był już ubrany do wyjścia, gdy naraz szelest jakiś zwrócił jego uwagę. Obrócił się i zdrętwiał.

W drzwiach stała dziwna postać. Otulona była ona w długi, fałdzisty czarny płaszcz, na głowie miała czarny kapelusz o bardzo szerokich krezach, twarz przesłaniała maska. Postać ta wyprostowana w drzwiach, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, patrzyła spokojnie na Dillinga dwoma otworami w masce.

Dilling odzywał wreszcie równowagę umysłu. Cofnął się o dwa kroki i oparł się o biurko, w którego niezamkniętej szufladzie spoczywał nabity rewolwer.

– Czego pan tu szuka? – zapytał.

Czarna postać zamknęła drzwi i wolnym krokiem podeszła do Dillinga.

– Czego pan chce ode mnie? – zapytał ponownie Sir Percy.

– Chcę pomówić z panem – odparł nieznajomy. – Niech pan odejdzie od biurka. Sięganie po rewolwer nie uratuje pana.

Błysnął w ręce zimną czernią browninga. Dilling opadł bezsilnie na krzesło.

– Kim pan jest?

– Jestem tym, którego poszukuje policja całego Theopolis... Tym, który nazwany jest *szatanem* w języku poetycznych obywateli miasta... jestem...

– Wiem... jest pan *Pierwszym ze Związku Tysiąca*.

Głos nieznajomego brzmiał nieco ochryple:

– Tak, jestem nim właśnie. Niech pan będzie spokojny. Nie grozi panu nic złego. Musi pan jednak wypełnić moje rozkazy...

– Ja?

– Tak! Chcę, by pan wszedł w szeregi naszej organizacji.

– Działanie jej jest sprzeczne z prawem.

– Działanie jej stanie się prawem, gdy opanuję miasto. Mister Dilling, ja nagradzam sownie za posłuszeństwo, za upór karzę bezlitośnie.

– Szkoda daremnych słów...

Nieznajomy pokiwał głową:

– Mister Dilling! Był pan w mieszkaniu Kerntopa, gdy popełniono zbrodnię. O tym nie wie policja, ale ja wiem. Pod zarzutem tego

morderstwa aresztowany został major Murphy. Czy chce pan, by Murphy został zwolniony i by pan zajął jego miejsce...

Dillingowi zdawało się, że przeżywa jakiś sen koszmarny.

– Jestem niewinny...

– Wiem. Ale czy pan myśli, że nie potrafię dać policji w ręce tyle dowodów pana winy, ile tylko zechcę. Radzę panu nie próbować tej gry.

– Więc czego pan żąda ode mnie?

– By wypełnił pan moje polecenie.

– To jest wymuszenie... proste wymuszenie.

Człowiek w masce zniecierpliwił się:

– Nie chodzi tu wcale o tę czy inną nazwę tego, co robię. Gwarantuję panu, że o ile mnie pan nie posłucha wina pana, jako mordercy Kerntopa zostanie panu udowodniona, a wątpię, czy wtedy będzie pan mógł poślubić Miss Fergusson.

Dilling zasłonił twarz rękoma:

– Mister Dilling – ciągnął dalej nieznajomy. – Żądam od pana dwu usług... Pierwsza, by nie składał pan u władz żadnych zeznań w sprawie swej bytności w mieszkaniu Kerntopa w chwili, gdy go zabito... Jako drugą usługę żądam, by pomógł mi pan w porwaniu Maud Fergusson.

Sir Percy wyprostował się:

– Pan jest szalony!

– Nie. Wiem dobrze, co czynię. W interesie mym leży, by na przeciąg najwyżej dwu tygodni internować jedynie... Maud Fergusson. Tam, gdzie ją umieszczę, nie będzie jej niczego

brakować... będzie pan mógł być przy niej... Gdy przyjdzie czas, zostanie zwolniona... Co pan woli, czy moją propozycję, czy szubienicę? Powtarzam: Maud Fergusson nic się złego nie stanie.

Lord Dilling milczał:

– Czekam! – oświadczył po chwili nieznajomy. – Sądzę, że nie ma pan wyboru.

– Ma pan rację, nie mam wyboru – powtórzył głucho Dilling. – Czy gwarantuje mi pan, że Maud... że Miss Fergusson nie stanie się nic złego?

Nieznajomy uśmiechnął się pod maską:

– Jeżeli w tej sytuacji zechce pan uznać me słowo za słowo dżentelmena – daję je panu.

– Co mam robić?

– Ustali pan godzinę spotkania z Miss Maud na jutro, na dwunastą w południe. W magazynie Halpausa... Dobrze? Przed bramą magazynu będzie oczekiwać na was auto. Szofer będzie wiedział, co robić.

– Pan żąda, bym wydał w ręce pana kobietę, którą kocham?

– Trudno, Mister Dilling. Niech pan pamięta, że jest pan od teraz jednym z tysiąca sprzymierzonych. Jeżeli pan sprawi się dobrze – dotrzymam mego słowa. W razie próby zdrady zginie pan i Miss Fergusson tak, jak zginął Lacy Kerntop... Do zobaczenia, Mister Dilling.

Cofając się tyłem, nieznajomy opuścił pokój.

Lord Dilling nie próbował nawet alarmować policji. Wiedział, że nie zda się to na nic, że w ten sposób ściągnie zemstę nieznajomego

na głowę Maud i na siebie.

Znajdował się w mocy *szatana*, który nazywał się *Pierwszym ze Związku Tysiąca* i który nieznany nikomu sprawował rządy nad Theopolis, czyniąc z kogo chciał posłuszny swej woli manekin.

XII

Rada Dwunastu zbierała się pospiesznie pod wrażeniem tragicznego zgonu Lacy'ego Kerntopa i aresztowania majora Clarka Murphy'ego pod zarzutem morderstwa.

W myśl ustaw Theopolis Rada Dwunastu miała wybrać nowego członka Rady w miejsce Lacy'ego Kerntopa z trzech kandydatów, z których dwa nazwiska ustalała Rada, trzecie podawał gubernator miasta.

Poza tym Rada miała mianować dwu nowych strażników skarbcza Theopolis.

Przewodniczący Rady Dwunastu zaczął obrady krótkim przemówieniem, w którym stwierdził, iż wszyscy ludzie prawa w mieście znajdują się obecnie w walce z groźną organizacją, która dąży do opanowania miasta i obalenia istniejącego porządku rzeczy.

Prokurator Ralf Fingal, mimo późnej pory, zjawił się na galerii, było już bowiem powszechnie wiadome, iż gubernator Fairfax wysunie jego kandydaturę do Rady Dwunastu. Ralf Fingal nie przejmował się wcale zgonem Lacy'ego Kerntopa. To był jego najzaciętszy współzawodnik, człowiek, który mógł mu stanąć na przeszkodzie w osiągnięciu najwyższego w Theopolis stanowiska. Obecnie, gdy Lacy Kerntop nie żył, gdy został zamordowany przez Clarka Murphy'ego nic już stać nie mogło Fingalowi na drodze do

realizacji swych ambitnych planów.

Przewodniczący Rady, Mister Mac Adoo, uznał, że właściwie powinien być wdzięczny Clarkowi Murphy'emu za przysługę, jaką mu oddał mimowolnie, mordując Lacy'ego Kerntopa z osobistych pobudek. Tymczasem on, Ralf Fingal, będzie musiał żądać wobec sądu głowy tego człowieka i doprowadzić do wydania wyroku śmierci.

Rada Dwunastu przystąpiła do głosowania nad zgłoszonymi kandydaturami, po czym po krótkiej przerwie przewodniczący ogłosił, że wymaganą większością wybrany został na dwunastego członka prokurator Ralf Fingal.

Na ustach nowego członka błąkał się uśmiech pełen zadowolenia, gdy zeszedł z galerii na salę obrad i zajął miejsce wśród innych członków Rady.

Przewodniczący Rady, Mister Mac Adoo, uznał za stosowne wygłosić powitalną mowę, w której dał wyraz powszechnej radości członków Rady, iż dokooptowano do niej tak godnego szacunku męża, tak mimo swej młodości doświadczonego.

Następnie Mister Mac Adoo oznajmił, iż jeden ze strażników skarbcza Theopolis został zamordowany, drugi z powodu popełnienia zbrodni pospolitej stracił automatycznie swą wysoką godność. Wobec tego Rada w tajemnym głosowaniu musi wybrać dwu strażników skarbcza w miejsce Lacy'ego Kerntopa i Clarka Murphy'ego.

Zarządzono tajność posiedzenia, po czym Mac Adoo zobowiązał członków Rady, iż nazwiska nowo obranych strażników skarbcza Theopolis pozostaną tajemnicą Rady Dwunastu.

- Proszę zgłaszać kandydatury – ozwał się przewodniczący.
- Zgłaszam kandydaturę prokuratora Ralfa Fingala! – ozwał się pułkownik Allan Shacall.
- Zgłaszam kandydaturę Romana Czarzy.
- Czy nikt nie zgłasza innych kandydatur? – zapytał przewodniczący. – Jeżeli inne kandydatury nie będą zgłoszone, Ralf Fingal i Roman Czarza automatycznie zostaną uznani za wybranych.

Członkowie Rady milczeli. Zarówno nazwisko Ralfa Fingala, jak i Romana Czarzy nie budziło w nikim z nich zastrzeżeń.

Ralf Fingal uśmiechnął się z zadowoleniem. Jakże szybko szedł w górę. To był naprawdę jego szczęśliwy dzień.

Naraz...

Salę obrad Rady Dwunastu ogarnęły ciemności. Światła elektryczne zgasły, jak świece zdmuchnięte gwałtownie.

– Co to jest? Co to znaczy? – odezwały się przerażone głosy.

Rozległ się jakiś szelest, jakby drzwi do sali otwierał ktoś delikatnie i naraz rozległ się potężny głos męski.

– Zgłaszam stanowczy sprzeciw przeciw wyborowi Romana Czarzy.

– Kto mówi? – zapytał przewodniczący, szukając po omacku ręką alarmowego dzwonka.

– Mówi *Pierwszy ze Związku Tysiąca*. Ostrzegam was przed wybraniem Romana Czarzy.

Rozległ się znowu szelest i potoki światła zalały z powrotem salę obrad oświetlając wybladłe oblicza członków Rady.

W sali obrad nie było nikogo poza dwunastoma członkami Rady. Przewodniczący zaalarmował służbę, przeprowadzono krótkie

śledztwo, które jednak nie dało pozytywnych wyników.

W pół godziny później wznowiono posiedzenie i dokonano wyboru Ralfa Fingala i Romana Czarzy na strażników skarbcza Banku Theopolis.

Rada Dwunastu nie dała się zastraszyć groźbom nieznajomego.



Była godzina piąta po południu.

W pałacu swoim Fred Fergusson, trzeci strażnik skarbów Banku Theopolis, oczekiwał na dwu nowo wybranych strażników – Ralfa Fingala i Romana Czarzę – by wtajemniczyć ich w prawa i obowiązki, jakie nakładało na nich nowe stanowisko.

Wysokie czoło Freda Fergussona ściągnięte było namysłem, na twarzy jego widniała troska. Przyczyną tej troski była Maud, która wyszła z pałacu o godzinie jedenastej rano i dotąd nie powróciła jeszcze, mimo że wskazówki elektrycznego zegara coraz to bardziej zbliżały się do godziny piątej.

Fred Fergusson z każdą chwilą niepokoił się coraz bardziej przeciągającą się nieobecnością córki, którą ogromnie kochał. Wahał się jednak zawiadomić policję, nie chcąc wywoływać niepotrzebnego alarmu i mając nadzieję, iż Maud nie stało się nic złego i że lada chwila zjawi się w pałacu wesoła, uśmiechnięta i promieniejąca urodą.

Tymczasem zjawili się u niego dwaj nowo obrani strażnicy skarbcza. Ralf Fingal promieniał zadowoleniem, Roman Czarza zachowywał swój zwykły kamienny spokój. Myśli jego były obecnie zajęte więcej sprawą Murphy’ego, niż sprawą obrony skarbców Theopolis.

Fred Fergusson przystąpił natychmiast do rzeczy, chcąc

rozpatrywaniem spraw Banku Theopolis zagłuszyć niepokój o Maud, który nurtował go coraz bardziej.

– Moi panowie! – rzekł. – Nie wiem czy wiadoma jest wam szczególna sytuacja, w jakiej znajduje się Bank Theopolis na skutek zgonu Lacy’ego Kerntopa i aresztowania Clarka Murphy’ego. Skarbiec Theopolis, w którym złożone są miliardy Neda Harrissona, stanowiące kapitał zakładowy banku, opatrzony jest w liczne techniczne urządzenia, które mają za zadanie uniemożliwić włamanie się do trezorów... Pokażę je panom i wyjaśnię wszystkie pułapki, jakie grożą śmiałkom, którzy by się dostali tam w zbrodniczych zamiarach, ale dopiero wtedy, gdy sam będę mógł dostać się do skarbców...

Ralf Fingal słuchał z uwagą.

– Nie rozumiem – rzekł.

– Zaraz pan zrozumie, panie prokuratorze. Otóż do podziemi, gdzie mieszczą się trezory, wiedzie tylko jedna brama. Olbrzymie drzwi z kowanego złota opatrzone w niezmiernie skomplikowane zamki...

Fred Fergusson mimo woli głos zniżył, choć nikogo nie było w pokoju, zbudowanym w kształcie olbrzymiej szklanej kuli.

– Zamków tych jednak nikt nie zdoła otworzyć, jeżeli wpierv nie nastawi odpowiedniej kombinacji literowej... Urządzenie to umieszczone w drzwiach przypomina maszynę do pisania, ale ma tylko dziewięć klawiszy z dziewięcioma literami. Litery te tworzą słowo:

– T–H–E–O–P–O–L–I–S – ozwał się milczący dotąd Czarza.

Fred Ferguson popatrzał na niego zdziwiony.

– Skąd pan wie o tym? – zapytał.

Roman Czarża wzruszył ramionami.

– Nie było trudno się tego domyśleć.

– A więc tak – ciągnął Fergusson – litery te tworzą słowo *Theopolis*.

By otworzyć zamki, trzeba pocisnąć wszystkie klawisze w odpowiednim porządku. Każdego dnia porządek ten jest inny. Jak łatwo można obliczyć, przestawiając dziewięć liter tworzących słowo *Theopolis*, otrzymać można olbrzymią ilość kombinacji.

– Z górą trzysta tysięcy – zauważył Czarża.

Fergusson skinął głową:

– Obliczy to łatwo każdy, kto zna kombinatorykę. Jak panowie widzą, szanse włamywaczy są bardzo małe. Otóż strażnicy skarbcza pełnią służbę po dwu. Codziennie, według kolejki, jeden z nich jest wyłączony od służby. Zadanie ich polega na tym, że każdego dnia z chwilą zamknięcia Banku z wszystkich kombinacji literowych słowa T-H-E-O-P-O-L-I-S dwaj dyżurni strażnicy wybierają jedną kombinację i na tę kombinację literową nastawiają maszynę i zamykają skarbiec. Nikt, kto nie zna tej kombinacji – wybierają ją oni zupełnie dowolnie z pośród listy z górą trzystu tysięcy kombinacji – nie może otworzyć drzwi skarbcza... I tutaj Bank padł ofiarą systemu. W dniu, kiedy zginął Kerntop, pełnił on służbę wraz z Murphym... Ja byłem tego dnia wyłączony. Kerntop i Murphy ustalili kombinację literową słowa *Theopolis* i zamknęli drzwi skarbcza. By je otworzyć, trzeba klawisze z literami T, H, E, O, P, O, L, I, S nacisnąć we właściwej kolejności. Kerntop nie żyje... umarli nie mówią... Musimy więc zwrócić się do Murphy'ego, by nam tę kombinację podał... Inaczej nie możemy otworzyć skarbcza...

– A skoro Murphy odmówi?...

– Nie widzę powodu, dla którego miałby to zrobić...

– To jest wielki atut w jego ręku – ozwał się Fingal.

– Skoro Murphy odmówi, musielibyśmy wypróbować tak długo wszystkie kombinacje liter, aż trafilibyśmy na właściwą... Potrwałoby to szereg dni.

Zapanowało chwilowe milczenie.

Przerwał je Roman Czarża:

– Udam się do więzienia – rzekł. – Pomówię sam z Murphym. Nie widzę powodu, dla którego Murphy miałby milczeć.

– Czy mam tam panu towarzyszyć?

– Nie, to zupełnie zbędne. Udam się tam sam.

Mężczyźni powstali z miejsc. Konferencja była skończona.

– Jeszcze jedno pytanie, Mister Fergusson – zapytał Ralf Fingal. – Gdzie mieści się spis kombinacji słowa *Theopolis*?

– W kasie ogniotrwałej banku na dwudziestym ósmym piętrze... Gdy Murphy wyjawi nam ową kombinację literową, którą wybrał z Kerntopem owego wieczoru, rozpoczniemy z powrotem pełnienie naszej służby.

Pożegnali się skinieniem głowy, po czym Czarża i Ralf Fingal opuścili pałac Fergussona.

Milioner pozostał sam. Przez chwilę myślał o tym, jak odrębnymi pod każdym względem ludźmi byli Roman Czarża i Ralf Fingal – po czym uciszony na czas pewien niepokój o córkę zrodził się w nim znowu.

Zadzwoił gwałtownie. Wszedł służący.

– Czy panna Maud wróciła?

– Nie... Mister Fergusson. Przed chwilą przyniesiono jakiś list. Nie oddawałem go dotąd, bowiem nie chciałem przeszkadzać w konferencji.

– List? Proszę mi go dać zaraz.

Obrócił kilka razy w palcach kopertę, nim się zdecydował ją otworzyć.

Wreszcie...

Fred Fergusson przebiegł list oczyma i pobladł. List był od *nieznajomego*. Donosił on, że Maud jest w jego mocy i by Fergusson był spokojny. Nie stanie się jej nic złego.

Gdy na alarm wszczęty przez starego pana służba wpadła do pokoju, ujrzała Fergussona szarpiącego resztki siwych włosów na głowie i załamującego rękę.

– Maud! Maud!

Z trudem zdołano go uspokoić. Powiadomiono policję, której przybyła nowa zagadka do rozwiązania.

W jasną księżycową noc, pod usianym gwiazdami stropem nieba, błąkał się złamany, znękany Fred Fergusson po swych wspaniałych ogrodach. Zwiędłe jego wargi szeptały nieustannie imię córki.

Strzeliste drapacze nieba patrzyły na niego z litością, orbitami czarnych okien.

XIV

Po opuszczeniu pałacu Fergussona Ralf Fingal polecił zawieźć się do siedziby gubernatora.

Pragnął pomówić z May Fairfax, której nie widział od dni kilku.

Gubernator Fairfax przerwał obieranie pomarańczy i wyciągnął do prokuratora rękę, ociekającą sokiem owocu.

– Dobrze, że pan przychodzi, Mister Fingal... Właśnie... hm... mam z panem do pomówienia... Może pomarańczę? Są doskonałe!... Mam do pomówienia z panem o tym... Murphym.

Temat ten nie był specjalnie miły Fingalowi. Wzruszył ramionami:

– Sprawa jest – niestety – aż nazbyt prosta... Murphy, mimo swej nieskazitelnej przeszłości, jest mordercą Lacy’ego Kerntopa...

Gubernator Enoch Fairfax włożył do ust cząstkę pomarańczy i spożywał ją z rozkoszą smakosza.

– To... niemile. Ten Murphy był zdolny. Czy to nie on przypadkiem jest *Pierwszym ze Związku Tysiąca*?

Ralf Fingal osłupiał. To była myśl!

– Nie sądzę – odpowiedział z wahaniem. – Zresztą przekonamy się o tym w śledztwie.

– Czy termin rozprawy jest już wyznaczony?

– Chcemy to załatwić jak najszybciej. Rozprawa odbędzie się za dziesięć dni...

Urwał. W drzwiach gabinetu wyrosła jasna sylwetka May Fairfax. Ralf Fingal pospieszył przywitać się z nią i dojrzał, ku swemu zdumieniu, ślady łez na twarzy dziewczyny. Były one troskliwie przypudrowane, lecz Ralf Fingal zbyt baczny był obserwatorem, by tego nie dostrzec.

Gubernator Fairfax tymczasem przypomniał sobie o nowych zaszczytach, które spłynęły na młodego prokuratora i między jedną a drugą częścią pomarańczy jał składać mu gratulacje.

Ralf Fingal słuchał go z niecierpliwością, czekając chwili, kiedy nudny staruszek pozostawi go wreszcie samego z May.

Chwila ta rychło nadeszła. Enoch Fairfax oświadczył naraz iż musi jeszcze odpocząć sobie nieco przed obiadem i znikł w swych apartamentach.

Ledwo jednak drzwi zamknęły się za gubernatorem, May, uprzedzając słowa Fingala, zwróciła się do niego z pytaniem:

– Jak stoi sprawa Murphy’ego?

W głosie jej brzmiał ton gwałtownego podniecenia, tak bardzo u niej niezwykły.

Ralf Fingal uniósł ramiona. Czy doprawdy sprzysięgli się wszyscy, by zameczyć go tą głupią sprawą.

– Panno May – ozwał się swym metalicznym głosem – czyż nie ma spraw ciekawszych nad pospolite morderstwo? Wszak w *Grodzie Szatana* są one na porządku dziennym.

Bladość dziewczyny zwiększyła się. Fingal zmarszczył brwi.

– Niech się pani uspokoi, May! Czy ta sprawa interesuje panią tak szczególnie?

Skinęła bez słowa głową.

– Więc Murphy zabił?... – zdołała wreszcie wyszeptać.

Ralf Fingal rozłożył charakterystycznym swym ruchem ręce:

– Niestety, śledztwo stwierdziło to ponad wszelką wątpliwość.

– Dlaczego... dlaczego zabił Kerntopa? Co znaczą te pogłoski?

– Zabił z powodu rywalizacji o względy pewnej kobiety. Jest nią – mogę pani powiedzieć w zaufaniu – Maud Fergusson.

– To niemożliwe... Murphy nie mógł mnie oszukać...

Przygryzła wargi. Zrozumiała, że powiedziała o kilka słów za dużo.

Prokurator podjął jednak skwapliwie ów temat.

– Pani znała Murphy’ego?

– Tak... spotkałam go kilkakrotnie w parkach miejskich. Poznałam go przypadkowo. Rozmawialiśmy wiele...

– Mówił pani, naturalnie, że panią kocha – odparł szyderczo Fingal.

– To zawodowy Don Juan.

Skinęła głową. Dwie duże łzy poczęły toczyć się wolno po jej policzkach.

Mózg Fingala pracował gorączkowo. Należało w pierwszym rzędzie opanować nową sytuację. Nachylił się nad May i począł mówić łagodnym tonem perswazji:

– Niechże pani zamilczy o tych spotkaniach. Niech pani nikomu o nich nie mówi. Ładna byłaby historia. Córka gubernatora i morderca... Morderca, który równocześnie zapewniał panią o swej miłości i walczył z Lacym Kerntopem o inną kobietę... Niechże pani milczy i zapomni jak najszybciej o tym, że istniał kiedykolwiek na świecie jakiś tam Murphy.

Podniosła głowę.

– Zapomnę! – rzekła twardo. – Muszę zapomnieć... Co stanie się z Murphym?

Ralf Fingal potrząsł bujną czupryną.

– Podzieli los wszystkich morderców... Prawo jest jedno dla wszystkich... Czemu pani płacze, May?

Spojrzała na niego przez łzy:

– Bo ja go kochałam, Mister Fingal – odpowiedziała poważnie.

Prokurator pobladł:

– Chciałem porozmawiać dziś z panią o naszej wspólnej przyszłości. Po tym jednak, co usłyszałem, odkładam to do sposobniejszej chwili... Pani potrzebuje teraz spokoju – a więc odchodzę.

Skłonił się i, jak zawsze poprawny w każdym ruchu i geście, opuścił pokój.



Roman Czarża szedł wąskimi korytarzami kazamat prowadzony przez dozorcę. Szedł pochylony, z głową zwieszoną na piersi, myśląc o tajemniczych okolicznościach, jakie sprawiły, że Sidney Clark Murphy, chluba policji Theopolis, znalazł się w więzieniu pod strasznym zarzutem pospolitego morderstwa. Roman Czarża nie mógł i nie chciał uwierzyć w winę Murphy'ego, lecz wszystko, wszystko przemawiało za tym, że zabił – Murphy.

Roman Czarża daleki był od uwierzenia we wszystkie dowody winy wysuwane przez Ralfa Fingala. Wiele z nich mógł to być fatalny dla oskarżonego zbieg okoliczności. Ale wynik badania daktyloskopijnego był dowodem niemożliwym do obalenia. Czarża dokonał swej ekspertyzy z całą uwagą, wiedział bowiem, o jaką stawkę toczyła się gra. Pomyłka była wyłączona. Na narzędziu zbrodni widniały odciski palców Murphy'ego.

Długi korytarz więzienny łamał się to w prawo, to w lewo. Czarża podniósł siwą głowę i patrzył tępo na numery cel, wymalowane białą farbą na czerwonym tle drzwi.

Stary dozorca zwrócił się do niego:

- Jeszcze jeden zakręt. Może pan zmęczony... chce odpocząć?
- Nie, idźmy dalej. Spieszno mi!

Skrećili w boczny korytarz. Dozorca zatrzymał się przed celą numer

346 i wskazał na nią:

– To tu...

Rygle zazgrzytały nieprzyjemnie. Czarża uczył nagły chłód i otulił się szczelniej płaszczem. Cella była jasno oświetlona. W rogu niej stał człowiek z ogoloną głową, w pasiastym ubiorze więziennym.

Był to numer 672 – dawniej major głównej komendy policji Sidney Clark Murphy.

Roman Czarża stanął na progu celi.

Przez bardzo długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Roman Czarża przemówił pierwszy:

– Dobry wieczór, Clark – ozwał się głosem przyciszonym, jak człowiek, który obawia się obudzić śpiącego.

Sidney Clark Murphy wyciągnął doń rękę:

– Przyszedłeś? – rzekł. – Po co przyszedłeś? Patrz, jak nisko można upaść w ciągu chwil kilku...

Czarża zwrócił się do strażnika:

– Proszę zostawić nas samych – ozwał się głosem nawykłym do rozkazywania.

Drzwi celi szczęknęły. Byli sami.

Roman Czarża szukał daremnie słów, od których należałoby zacząć rozmowę. Wszystkie zamierały mu na wargach. Nie chciał rzucać zdawkowych słów nadziei, bo nadziei tej nie było, nie chciał od razu wyjawiać brutalnie, dlaczego przyszedł. Stał przed Murphym z pochyloną siwą głową, z pofałdowanym boleśnie czołem.

Przerwał je Murphy:

– Nie mam żadnego żalu, żadnych pretensji – rzekł. – Rozumiem,

Mister Czarza, że obowiązek, nawet najtwardszy, musi stać ponad węzłami przyjaźni.

Roman Czarza uśmiechnął się blado.

– Jestem niewinny! – ciągnął dalej Murphy. – Zostałem wciągnięty w straszną zasadzkę . . . Ale, choćby wszystko zawiodło, istnieje jeden dowód mej niewinności. Nagrane na płytę słowa mojej rozmowy z *nieznajomym* – z *szatanem* Theopolis...

Czarza przecząco pokiwał głową:

– Nie chcę, byś się łudził. Dowód ten, niestety, nie istnieje.

Murphy pobladł straszliwie:

– Jak to nie istnieje?...

– Aparat fonograficzny w tym gabinecie był uszkodzony. Płyta nie została nagrana.

– A więc – jestem zgubiony. Już nic, nic nie wiem! Już nic nie rozumiem. Nie wiem kto jest owa *May* – uwierzyć nie mogę, by mogła to być Maud Fergusson...

– Maud Fergusson została porwana.

– Usunięto więc w ten sposób ważnego świadka... Co robi Ro?

– Ro dwa razy uciekał do ciebie, tutaj, do więzienia. Jest obecnie u mnie, ale muszę go trzymać pod kluczem. Płacze i piszczy po całych dniach, nie chce nic jeść. Gdybym go wypuścił, przybiegłby z pewnością prosto do ciebie. Zna już drogę do więzienia.

– Poczciwy Ro. On jeden wierzy w mą niewinność.

Roman Czarza położył Murphy'emu rękę na ramieniu:

– Nie mów tak, Clark. Ja wierzę w nią również, wierzę wbrew rzeczywistości, która mówi, że jesteś winien, wierzę wbrew dowodom

twej winy, wierzę na przekór wszystkiemu.

– Twoja wiara mnie nie uratuje.

– Ale może znajdzie dowody twojej niewinności. Słuchaj, Clark, jak wyglądała owa *May*, z którą spotykałeś się w parkach Theopolis?

– Szczupła blondynka o jasnych oczach.

Czarża uniósł w górę krzaczaste brwi:

– A zatem nie była to Maud Fergusson... Miss Fergusson bowiem jest brunetką.

– Czy jesteś tego pewny?

– Jak najpewniejszy. Gdybym mógł odnaleźć ową *May*, skonfrontować ją z Miss Fergusson...

Clark Murphy potrząsnął głową:

– Nie, nie chcę tego. Nie chcę wciągać kobiety, którą kocham, w sprawę, która i tak jest stracona. Czy sądzisz, że zeznania jej zdołają mnie uratować, wobec ekspertyzy odcisków palców?

Czarża westchnął:

– Zrobię, co tylko będę mógł, by cię uratować... W ostateczności ułatwię ci po zapadnięciu wyroku ucieczkę. Teraz mam do ciebie zlecenie od Rady Dwunastu. Wybrano mnie strażnikiem skarbów Banku Theopolis.

– To dobrze!... A kogo prócz ciebie?

– Ralfa Fingala.

Murphy spojrzał badawczo na Czarżę:

– Ralfa Fingala?... Człowieka o brwiach zrosniętych nad nosem? Pamiętasz, co mówiłeś mi o nim?

– Pamiętam! Nie mogę się też zdobyć na zaufanie do niego, choć

może myślę się w sądzie o mm. Przyszedłem do ciebie, byś dał mi sygnał, którym można otworzyć skarbiec.

Clark Murphy uczynił potakujący gest:

– Prawda, zapomniałem o tym, że nie zdałem jeszcze tego obowiązku! Zaraz... w jakimże porządku szły te litery? Ustalaliśmy to z Kerntopem, którego rzekomo miałem zamordować... O, T, E, H... S, I, L... Nie... L... I...

Więzień numer 672 zmarszczył czoło:

– Boję się, że nie będę ci mógł tego powiedzieć, mój drogi. Zapomniałem porządku liter... O, T, E, H... I... L... S... Nie, nie wiem. O, E, T...

– Przypomnij sobie. Czy wiesz, co będzie, gdy sobie nie przypomnisz?

– Wiem. Litery pomieszały mi się zupełnie. Jestem taki zmęczony... O... H... T... Nie, już zupełnie nic nie wiem.

Roman Czarża ujął Murphy'ego za ramię i potrząsnął nim:

– Człowieku, przypomnij sobie!

– Nie mogę. Zapomniałem!

– Może masz gdzieś napisaną kolejność liter?

– Nie! To, co jest napisane przestaje być tajemnicą.

– A więc skarbce banku są zamknięte nawet dla jego dyrekcji. Nawet dla gubernatora.

– Radbym wam pomóc, ale nie pamiętam... Musicie zapytać ducha Kerntopa lub wypróbować wszystkie kombinacje.

– Jest ich z górą trzysta tysięcy.

– Wiem o tym! Powiedz Radzie Dwunastu, Mister Czarża, że

zapomniałem. Niech zmieniają system strzeżenia trezorów. Umysł ludzki jest słaby i zawodny, szczególnie umysł który żyje grozą śmierci.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak zakomunikować Ralfowi Fingalowi i Fergussonowi o tym, że zapomniałeś hasła.

Zrobił ruch, jakby chciał odejść, lecz zatrzymał się jeszcze i przez długą chwilę wpatrywał się badawczo w Murphy'ego.

Sidney Clark Murphy podniósł na twarz Czarzy zmęczone oczy i wzrok ich się skrzyżował. Z oczu byłego majora policji biła taka szczerość, że Czarza nie mógł znieść siły tego wzroku.

– Nie, on nie może być zbrodniarzem – pomyślał.

Uczuł ponownie przejmujący chłód i okrył się płaszczem jeszcze szczelniej.

– Czas na mnie, Murphy – rzekł półgłosem. – Żegnaj.

Clark Murphy wyciągnął do niego rękę:

– Do zobaczenia! Do zobaczenia na sali rozpraw... Pamiętaj o moim Ro...

– Bądź o niego spokojny.

Roman Czarza skinął głową i nie oglądając się już poza siebie, wyszedł szybko z celi. Dozorca podszedł do niego.

– Z rozkazu gubernatora – rzekł Czarza – proszę, by z więźniem obchodzono się jak najlepiej.

– Dobrze, panie! – odparł dozorca, zamykając ciężkimi ryglami drzwi celi numer 346.



Roman Czarża uwiadomił natychmiast Ralfa Fingala i Freda Fergussona o wynikach swych odwiedzin u Murphy'ego.

Obaj strażnicy skarbców Banku Theopolis rozłożyli ręce:

– Co robić?

Fred Fergusson odzyskał na chwilę energię, złamaną porwaniem Maud:

– Musimy według listy wypróbować wszystkie kombinacje, aż trafimy na właściwą.

Udali się natychmiast do Banku, gdzie na dwudziestym ósmym piętrze mieściła się kasa ogniotrwała, zawierająca klucz otwarcia skarbców.

Fred Fergusson drżącą nieco ręką otworzył drzwi kasy.

Z ust obecnych wydarł się krótki krzyk.

Kasa była pusta. Lista kombinacji słowa *Theopolis*, będąca dość okazałym zeszytem, zniknęła bez śladu. Skarbce Banku Theopolis były zablokowane.

Strażnicy skarbców spojrzeli po sobie. Roman Czarża uniósł w górę ramiona:

– Spodziewałem się tego – rzekł krótko.

Potem zwrócił się do Ralfa Fingala:

– Panie prokuratorze – ozwał się głosem, w którym tajiło się szyderstwo. – Jeżeli w ciągu dni kilku nie odkryje i nie zgniecie pan spisku, *Związek Tysiąca* owładnie miastem i skarbami Neda

Harrissona.

XVI

Gdy Maud Fergusson odzyskała przytomność, pierwszą twarzą, którą ujrzała, była twarz Sir Percy'ego Dillinga.

Znajdowali się w małym mrocznym pokoiku, oświetlonym słabym światłem lampki. Jego urządzenie przypominało więzienną celę, ale Maud Fergusson daremnie szukała okna lub drzwi w tym dziwnym pokoju. Jednolitość ścian, podłogi i sufitu zdawała się wyłączać istnienie nawet ukrytych drzwi.

Jak znalazła się tutaj? Przypomniała sobie. Spotkanie z Dillingiem, auto... dwu zamaskowanych drabów... chustkę nasyconą chloroformem...

Uniosła się na tapczanie, na którym leżała. Miała jeszcze w ustach nieznośny, mdły zapach narkotyku.

– Percy, co to znaczy?

Lord Dilling zwrócił ku niej twarz, zmienioną smutkiem.

– Sam odzyskałem przed chwilą przytomność... Jesteśmy porwani... Maud i... to ja – ja – przyłożyłem rękę do porwania ciebie...

Maud Fergusson usiadła. W czarnych jej oczach nie było śladu trwogi, jeno oburzenie i zdziwienie.

– Ty? Ty przyłożyłeś rękę do porwania mnie?

Sir Percy uśmiechnął się:

– Tak i sam, za jednym zamachem, zostałem porwany... Jesteśmy w

mocy *Związku Tysiąca...*

– Więc ty, ty, którego wybrałam z tych wszystkich, którzy się o mnie ubiegali, jesteś członkiem tej zbrodniczej szajki... ty podniosłeś na mnie rękę?

– Musiałem, Maud...

– To słowo nie istnieje w języku mężczyzny.

Sir Percy pochylił głowę w poczuciu swej winy.

– Posłuchaj mnie, Maud – rzekł. – Posłuchaj, musisz mi przebaczyć.

I opowiedział Maud o wizycie *nieznajomego*, o strasznej groźbie, pod której obuchem ważył się na rzecz najstraszliwszą dlań w świecie. O tym, że w ten sposób ratował się od śmierci i hańby.

Słuchała z twarzą ściągniętą uwagą:

– Maud, Maud – błagał – czy ty będziesz mi mogła przebaczyć?

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym gniew walczył z uczuciem miłości.

– Nie wiem – rzekła – zrobiłeś źle... Biedny ojciec... Dobrze przynajmniej, że jesteśmy razem...

Dilling pochylił się do jej ręki. Odsunęła go lekko.

– Będzie czas na to – ozwała się – gdy wydostaniemy się z tego więzienia. Co za dziwny pokój! Nie ma wcale drzwi.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa w suficie pokoiku otworzyła się znakomicie ukryta kłapa i poczęła się opuszczać.

Człowiek o zamaskowanym obliczu zszedł do ich więzienia i postawił przed nimi kosz z jedzeniem, po czym w milczeniu zabierał się do odbycia powrotnej drogi.

Maud zatrzymała go ruchem ręki:

– Co to znaczy? Dlaczego i gdzie jesteście więzieni?

Człowiek w masce potrząsał głową:

– Jesteście państwo więźniami *Pierwszego ze Związku Tysiąca...*

Więcej mi mówić nie wolno.

– Chcielibyśmy zobaczyć się z nim.

To niemożliwe. *Pierwszy* widuje się tylko z tymi, z którymi chce się widzieć... Nic wam tu zresztą nie grozi. Gdy przyjdzie czas zostanieie zwolnieni.

– Kiedy to nastąpi?

– Po egzekucji Sidneya Clarka Murphy'ego – odparł zimno spiskowiec.

Po sznurowej drabince wspiął się w górę, po czym kłapa zamknęła się za nim.

Maud i Percy zostali sami. Mała lampka w suficie płonęła spokojnie, obojętna na wszystko.

Godziny płynęły za godzinami... Na świecie po dniu następowała noc, po nocy błyskał świt poranka. W więzieniu ich nie było, ani dnia, ani nocy.

Raz dziennie wyprowadzano ich osobno na krótki spacer, po dusznym sklepionym korytarzu.

Czekali, aż strychezek zarzucony na szyję Clarka Murphy'ego przyniesie im wolność...

XVII

W dniach tych mieszkańcy Theopolis żyli w nieustannym podnieceniu spowodowanym wypadkami, które szybko następowały po sobie.

Aresztowanie Clarka Murphy'ego, nadchodzący termin jego rozprawy, porwanie Maud Fergusson, zniknięcie Lorda Dillinga, zablokowanie skarbców Banku Theopolis, wykradzenie listy kombinacji otwierających skarbcie – wszystko to wstrząsnęło mieszkańcami miasta wzniesionego przez Neda Harrisona.

Nie ulegało przy tym wątpliwości, iż zbrodnicza organizacja nazywająca siebie *Związkiem Tysiąca* gotuje się do opanowania miasta. Policja czyniła rozpaczliwe wysiłki, by wykryć spisek, ale nikt już w Theopolis nie wierzył, by mogło się jej to udać.

Nikt nie wierzył nikomu, każdy podejrzewał w każdym członka sprzysiężenia. W całym Theopolis nie było dwu ludzi, którzy by mieli do siebie wzajemne pełne, stuprocentowe zaufanie. Panował powszechny chaos, który mógł się łatwo przerodzić w walkę wszystkich przeciwko wszystkim.

Zbrodnia otoczyła Theopolis ramionami ośmiornicy, toczyła miasto, jak rak niszczący zdrowe tkanki ciała. Theopolis żyło grozą.

W tym powszechnym zamieszaniu oczy obywateli Theopolis zwracały się z otuchą na zaciętego wroga i tępiciele zbrodni –

prokuratora Ralfa Fingala.

On, w opinii licznych rzesz, miał być tym, który mógł ocalić miasto, który mógł wyrwać Theopolis z władzy szatana, rozpościerającego nad miastem olbrzymie czarne skrzydła zatracenia. On tylko – Ralf Fingal.

Ralfa Fingala dochodziły te głosy i napełniały go dumą i zadowoleniem. Tymczasem przygotowywał szybko akt oskarżenia przeciwko Sidneyowi Clarkowi Murphy'emu. Zbliżający się proces miał być szczytowym punktem prokuratorskiej kariery Ralfa Fingala.



Nad Theopolis wisiała noc, ciemna i bezksiężycowa.

Miasto drapaczy chmur i egzotycznych parków, umiłowany twór Neda Harrissona, spoczywało pogrążone w głębokim śnie.

Gigantyczne drapacze nieba, wtłaczając swe wyniosłe czaszki w gęsty mrok nocy, drzemały, śniąc sen swej własnej dumy i potęgi.

Górujący nad miastem dumny dziewięćdziesięciopiętrowy drapacz nieba, siedziba gubernatora miasta i siedziba Banku Theopolis – drapacz nieba, w którego kryształowej kopule spała snem wieczystym mumia Neda Harrissona – gorzał czterema ramionami potężnych reflektorów, płonął u szczytu światłem miliona elektrycznych żarówek.

Theopolis spało...

Nie spało jednak stu najprzedniejszych członków *Związku Tysiąca*,

których przywódca spisku wezwał tej nocy na pierwszą i ostatnią zarazem naradę.

W szaleńczej odwadze *Nieznajomy* naznaczył na miejsce obrad czaszę kryształowej kopuły w której mieścił się grób Neda Harrisona.

Cicho i bez szelestu, jak wielkie motyle, zdążyły ku największemu drapaczowi chmur i przypinały się doń pod gorejącą światłami kopułą, gdzie mieścił się mały taras – helikoptery wiozące uczestników spisku. Wszyscy w maskach i długich fałdzistych płaszczach. Wszyscy milczący i nieznani sobie.

Gromadzili się w małym mauzoleum, mieszczącym się w czaszce drapacza chmur, pod kryształową kopułą, gdzie w szklanym sarkofagu spoczywał Ned Harrison.

Z lękiem podchodzili spiskowi do tego sarkofagu i z lękiem patrzyli w twarz tego, który wznosił Theopolis, miasto światłości i szczęśliwości wiecznej.

On zaś spał wielki i nieporuszony, z wpadniętymi nieco w głąb potężnej czaszki oczyma, z długą białą brodą patriarchy – jak żywy, mimo wielu dziesiątków lat, które twór jego ukochany zmieniły w gród Szatana.

Zdawało się, że lada chwila otworzy oczy, wyschłą ręką wieko oszklone rozbije, by zgromić tych, którzy męcili jego odpoczynek, by rozpędzić tych, którzy zebrali się u jego grobu, by radzić, jak zniszczyć dzieło jego życia.

Ale nie budził się i nie wstawał z gromem na wargach, które straciły dawno barwę krwi – spał obojętny na wszystko, co nie było śmiercią samą i odpoczywaniem...

Przywódcą organizacji przybył ostatni. I jego twarz okrywała szczelnie maska i jego otulał czarny, długi płaszcz.

Wiał od niego, jakby jakiś magnetyczny prąd, bo gdy wszedł do mauzoleum, poznali go wszyscy, choć większość z nich widziała go po raz pierwszy.

Podszedł do grodu Neda Harrissona, oparł się o sarkofag i powiódł oczyma po zgromadzonych.

– Pokój wam synowie nocy – rzekł głosem, któremu towarzyszył uśmiech pod maską. – Jestem *Pierwszy ze Związku Tysiąca*.

Odpowiedział mu zmieszany szmer głosów.

– Noc uchodzi! – ciągnął dalej nieznajomy. – Zebranie to zwołałem, by przed czynem, który przygotowujemy, ustalić z wami plan działania... Od kilku pokoleń w podziemiach tego drapacza chmur, w labiryncie skarbców, leżą bezużytecznie miliardy. Miliardy wielkiego szaleńca, który spoczywa tu, w tym sarkofagu. Miliardy Neda Harrissona, który wymarzył sobie jakieś idealne miasto, u którego murów załamał się zbrodnia i występki... Dziś my wiemy najlepiej, że była to mrzonka... Cel nasz jest jasny. Zdobyć skarby leżące w trezorach Banku Theopolis, rozdzielić między siebie, owoładnąć miastem, zburzyć jego mury i wyruszyć w świat, od którego Theopolis jest odcięte, w świat, gdzie potrafimy właściwie użyć pleśniejących sztab złota... Wszystko po temu jest przygotowane... Najgroźniejszy wróg sprzysiężenia – major policji, Sidney Clark Murphy, zaplątany w beznadziejną sprawę – oczekuje rozprawy sądowej i wyroku śmierci. Skarbiec Theopolis zamknięty jest dla dyrekcji banku i jego strażników. Lista kombinacji liter otwierających skarbiec znajduje się

w moich rękach... Tą drogą jednak nie dostaniemy się do skarbcza. Dlatego, o czym wiedzą tu niektórzy z was, ryjemy podkop, którym dotrzemy do wnętrza skarbcza. Jestem wtajemniczony w niebezpieczeństwa, które grożą śmiałkom włamującym się do skarbcza. Potrafimy im zapobiec...

Nieznajomy przerwał na chwilę. Padło kilka pytań.

– Pytacie o termin? – rzekł. – A więc powiem wam już teraz. Owładniemy miastem, w dniu, gdy Clark Murphy zawiśnie na szubienicy. A teraz podchodźcie do mnie kolejno. Wymieniajcie swe numery, a będę wam udzielał szczegółowych instrukcji na ów dzień zwycięstwa...

Udzielanie instrukcji trwało długo. Gdy wreszcie skończyło się, *nieznajomy* raz jeszcze głos zabrał, wzywając, by każdy z członków spisku wypełnił dobrze swe obowiązki.

Noc dobiegała już końca, gdy członkowie *Związku Tysiąca* opuszczając poczęli czaszkę drapacza chmur.

Przywódca organizacji czekał, by wyjść ostatnim.

Pozostał wreszcie sam z jednym tylko spiskowcem, który ociągał się z odejściem.

– Na co czekasz jeszcze? – zapytał go *Pierwszy ze Związku Tysiąca*.

Zagadnięty zawahał się:

– Chciałem pomówić z tobą, przywódcu – rzekł. – Zdaje się, że cię znam...

Nieznajomy drgnął.

– Znasz mnie? Dlaczego mi to mówisz?

– Chciałbym otrzymać większą część, niż inni przy podziale

skarbów.

– Chciwość mroczy ci myśli. Mówisz, że znasz mnie? Wymień moje nazwisko...

Nieznajomy przysunął się do spiskowca.

– Nie mylisz się – rzekł. – To moje nazwisko.

Nieznajomy drgnął powtórnie.

– Nie mylisz się – powtórzył, zniżając mimowolnie głos. – Zaraz obierzesz nagrodę za to, że wiesz zbyt wiele.

I ruchem wolnym, jakby leniwym *Pierwszy ze Związku Tysiąca* zasztyletował spiskowca. Potem, nie starając się nawet przekonać, czyje rysy kryją się pod maską konającego, opuścił szybko mauzoleum, bowiem sina jasność na wschodzie znamionowała nadejście dnia.

XVIII

Przed Gmachem Sprawiedliwości w Theopolis gromadziły się tłumy ludzi, tak że silne oddziały policji, skonsygnowane przez pułkownika Shacalla, z trudem tylko utrzymać mogły porządek.

Za chwilę w Gmachu Sprawiedliwości rozpocząć się miała rozprawa przeciwko byłemu majorowi policji Sidneyowi Clarkowi Murphy'emu.

Wiedziano już, że prokurator Ralf Fingal postanowił rozszerzyć akt oskarżenia, że Clark Murphy miał być oskarżony nie tylko o zamordowanie Lacy'ego Kerntopa, ale również o otrucie wywiadowcy Evansa i o to, że, jako dowódca policyjnej eskorty, ułatwił ucieczkę skazanemu na śmierć mordercy Harty'emu.

Nikt nie wątpił, że sprawa zakończy się wyrokiem śmierci, ale zainteresowanie procesu nie słabło mimo to ani na chwilę, bowiem osoba oskarżonego do niedawna nieskazitelnego oficera policji, cieszącego się najlepszą opinią, budziła powszechne zainteresowanie.

O godzinie dziesiątej rano przewodniczący otworzył obrady sądu.

Po odczytaniu krótkiego, groźnego swą oschłością aktu oskarżenia przewodniczący – w myśl obowiązującej procedury – udzielił głosu oskarżonemu.

Sidney Clark Murphy mówił zwięźle i z godnością. Tłumaczył, że nie miał żadnych powodów do targnięcia się na życie Kerntopa, wyjaśnił w jakim celu znajdował się w czasie, kiedy zbrodnia została

popelniona, w jego mieszkaniu, dowodził, iż nieszczęsny zbieg okoliczności, które sprzysięgły się przeciwko niemu, sprawił, iż on – Sidney Clark Murphy – nieskazitelnie notowany major policji w Theopolis, znalazł się na ławie oskarżonych.

– Co do oskarżenia, jakobym ułatwił Harty’emu ucieczkę, co do oskarżenia, jakobym otruł Evansa – kończył swą obronę Murphy – tylko mam tyle do powiedzenia, iż chyba sam pan prokurator nie wierzy w prawdę tych części aktu oskarżenia... Padłem ofiarą zasadzki. Wiem, kto ją przygotowywał w jej całych potwornych rozmiarach... Ten, który grozi spokojowi Theopolis, ten, który zorganizował w mieście chodzącą luzem zbrodnię, który łączy w sobie szatański spryt z żelazną wolą, z jaką dąży do celu. Ten, który jest nieznanym karzącemu prawu, a zwie siebie *Pierwszym ze Związku Tysiąca*. Żądał ode mnie, bym zdradził mu tajemnicę otwarcia skarbców Banku Theopolis. Odmówiłem i oto dlatego znajduję się w drodze na szubienicę, mimo że jestem niewinny.

Wrażenie prostych słów Murphy’ego było wielkie. Zeznania świadków jednak szybko zniweczyły przychylny nastrój, jaki począł się na przepelnionej sali wytwarzać dla oskarżonego.

Roman Czarża siedział na ławie ekspertów i śledził bacznie przebieg rozprawy. Było w tym coś potwornego, iż on, on właśnie, miał zadać największy cios oskarżonemu, miał zamknąć usta obronie – on, który jak syna kochał Murphy’ego. Złe, ciężkie i ponure były myśli Czarży i bunt szalony wzbierał w jego piersi. Była chwila, gdy już postanowił sobie, że skłamię, skłamię po raz pierwszy w życiu, że wyzna przed sądem, iż omylił się w swej pierwszej ekspertyzie, że

odciski palców na narzędziu zbrodni nie były śladami palców Murphy'ego. Odrzucił jednak tę myśl. Przez czterdzieści kilka lat życia kłamstwo nie skalało jego ust. Czuł, że i tym razem nie zdobędzie się na nie. Zresztą Clark Murphy sam mówił, że obowiązek stoi ponad przyjaźnią.

Przewodniczący rozprawy szukał czegoś długo w aktach, po czym spojrzął na salę oczyma krótkowidza.

– Przystępujemy do zeznań rzeczoznawców. Czy Roman Czarża jest obecny?

Chwila nadeszła. Uczony podniósł się z swego miejsca.

– Jestem.

– Proszę bliżej. Pana nazwisko Roman Czarża?... Polak?... stały mieszkaniec Theopolis?

– Tak jest.

– Pismo pułkownika Shacalla stwierdza, że jest pan szefem laboratorium naukowego głównej komendy policji.

– Istotnie, jestem nim.

– Od ilu lat?

– Od dziesięciu.

– W sprawie Sidneya Clarka Murphy'ego zostaje pan powołany przez orzekający trybunał, by złożyć świadectwo, co do odcisków palców, znalezionych na sztylcie, którym zamordowany został Lacy Kerntop.

– Jestem gotów złożyć to świadectwo.

Głos Czarży brzmiał głucho i nienaturalnie. Czarża dziwił się sam jego brzmieniu.

Przewodniczący dokładał wszelkich starań, by przekonać nie tylko ławę przysięgłych, lecz i publiczność, że prowadzi sprawę w sposób wyłączający jakiegokolwiek wątpliwości lub niedokładności.

Ujął ze stołu narzędzie zbrodni i uniósł je w górę:

– Oto, co znaleziono w piersiach zamordowanego. Czy to ten sam sztylet?

– Ten sam.

– Znajdowały się na nim odciski palców. Zdjęcia ich poczynił pan osobiście?

– Tak, panie prezesie...

– Następnie dokonał pan badania odcisków palców oskarżonego.

– Uczyniłem to na jego własne żądanie. (Poruszenie wśród publiczności.)

– Jaki był wynik tego badania?

– Odciski na narzędziu zbrodni i odciski palców Clarka Murphy'ego są identyczne.

– Czy jest pan pewny, że się pan nie myli?

– O tyle pewny, o ile nieomylny jest rozum ludzki.

– Dziękuję panu! Czy pan prokurator lub obrońca mają jakieś pytania?

Obrońca: Panie Czarża, czy jest pan pewny, że odciski palców na sztylecie nie należą, nie mogą należeć do innego człowieka poza oskarżonym?

Prokurator: Mister Czarża odpowiedział na to przed chwilą.

Obrońca: Chwileczkę, panie prokuratorze. Chodzi mi o co innego. Czy może istnieć na świecie dwu ludzi o takich samych, zupełnie

identycznych liniach daktyloskopijnych palców?

Roman Czarża: Teoretycznie tak... (Poruszenie na sali.)

Obrońca: Czy mógłby nam pan wytłumaczyć to bliżej?

Roman Czarża: Bardzo chętnie... Nauka, zwana daktyloskopia, przyjmuje teoretycznie, iż co dwieście milionów ludzi mogą się powtarzać osobniki o takim samym rysunku odcisków palców...

Obrońca: Co dwieście milionów ludzi? Zwracam na to uwagę panów przysięgłych. A więc, Mister Czarża, ponieważ glob ziemski zamieszkuje dwa miliardy ludzi, czyli dwieście tysięcy razy dziesięć, możemy uznać, że może żyć równocześnie na świecie dziesięciu ludzi o takich samych liniach palców.

Roman Czarża: Możemy tak uważać, lecz będzie to teza o czysto teoretycznych wartościach.

Obrońca: Może się jednak zdarzyć, że tu – w Theopolis – jest dwu, trzech... pięciu... może nawet dziesięciu ludzi, których odciski palców będą zupełnie identyczne.

Roman Czarża: To jest możliwe...

Prokurator: Ale jest to przypuszczenie czysto teoretyczne.

Roman Czarża: Co do dziesięciu ludzi – tak. Trudno przypuszczać, by dziwnym zbiegiem okoliczności zebrali się wszyscy w jednym punkcie kuli ziemskiej. Ale dwu... dwu takich ludzi mogłoby być równocześnie w Theopolis.

Prokurator: Czy historia daktyloskopii notowała już kiedy taki wypadek?

Roman Czarża: Dotąd nigdy.

Prokurator: A więc grzeźniemy nadal w teorii. Nie mam więcej

pytań.

Obrońca: Ja również.

Przewodniczący: Mister Czarza jest wolny.



Badanie świadków dobiegało kresu. Za chwilę przewód sądowy miał zostać zamknięty i głos miał zabrać prokurator Fingal. Zeznania świadków i rzeczoznawców brzmiały dla oskarżonego fatalnie. Jedynie wszyscy ci, którzy współpracowali z Murphym, składali o nim pochlebne świadectwo. Ale i oni zdawali sobie sprawę, że zeznania ich mogą jedynie wpłynąć na podpisanie aktu ułaskawienia. Gdy wywołano świadka Maud Fergusson, prokurator Fingal podniósł się i rzucił trybunałowi słowo: *Zaginiona*.

Zaginiona zanotował protokolant, unosząc w górę brwi. Był jednym z niewielu, którzy wierzyli w niewinność byłego majora policji.

Mimo jednak, że rozprawa szła gładko, prokurator Ralf Fingal zdradzał wyraźnie zaniepokojenie i, raz po raz, poprawiał na ramionach purpurową togę. Był to u niego zwykły ruch zdenerwowania i podniecenia. Przenikliwymi, pięknymi oczyma wodził nieustannie po zbitym tłumie publiczności.

Jakby się czegoś obawiał, jakby czegoś szukał.

Odnalazł wreszcie. W owym zbitym, falującym tłumie on jeden tylko mógł ją odnaleźć, odnaleźć sercem, które ją przeczuwało, oczyma, które zawsze miały przed sobą jej wizję.

May Fairfax była na sali rozpraw.

Więc przyszła jednak. W skromnej sukience, jakby umyślnie

wcisnęła się w zwartą ciżbę, by nie zostać przez niego dostrzeżoną. Ona – May Fairfax, jedyna istota, którą kochał na świecie prokurator Ralf Fingal. Po co przyszła? Dla kogo przyszła?

Ralf Fingal przygryzł wargi. Nie przyszła tu po to, by słyszeć, jak on oskarża, jak broni prawa i gromi zbrodnię, młody i piękny jak archanioł sprawiedliwości. Nie przyszła tu dla wysłuchania płomiennej mowy, jaką miał wygłosić. Przeciwnie, każde słowo jego – Ralfa Fingala – będzie głęboko ranić jej serce. Przyszła bowiem na salę rozpraw, by ujrzeć jeszcze raz Murphy’ego, by raz jeszcze spojrzeniem zapatrzonych w nieszczęście oczu spocząć na jego twarzy.

Prokurator Fingal uczył nagle, iż opanowuje go zimna zawziętość na oskarżonego, iż mocarna fala zazdrości zalewa mu mózg. Ten człowiek, siedzący na ławie oskarżonych, popełnił najgorszą ze zbrodni. Okradł go z miłości jedynej istoty, od której pragnął miłości, on – Ralf Fingal... I dlatego będzie owego złodzieja miłości May oskarżał z taką mocą, z jaką nie oskarżał nigdy i z jaką nigdy więcej nikogo oskarżał nie będzie.

Prokuratorowi przyszło naraz na myśl, iż May w przystępie obłądnej rozpaczki może wyznać publicznie przed sądem, iż Murphy’ego znała, spotykała się z nim, że...

Ralf Fingal uczył zimno na samą myśl o skandalu, jaki wynikłby wówczas. Jak wybawienie zabrzmiały mu w uszach słowa prezesa sądu:

– Przewód sądowy zamknięty. Głos ma pan prokurator.

Wstał ze zwykłym sobie teatralnym gestem. Twarz miał bardziej

surową i nieubłaganą niż zwykle. Postanowił nagle zapanować nad uczuciem zazdrości, zapomnieć, że oskarżać będzie szczęśliwego rywala.

Brwi zrosnięte nad nosem ściągnęły się w prostą, ciemną linię...



Hallo! Hallo!

Radiostacja wewnętrzna Theopolis, miasta Neda Harrissona, nadawać będzie zaraz przemówienie prokuratora generalnego, Ralfa Fingala, w procesie Sidneya Clarka Murphy'ego, oskarżonego o zamordowanie Lacy'ego Kerntopa.

Hallo! Hallo!...



– Wysoki Sądzie!

Oskarżałem w sprawach tak wielu, iż liczby ich nie pomnę, lecz w tej sprawie wahałem się długo – wyznaję to szczerze! – czy wziąć samemu na swe barki ciężar obrony obrażonej Sprawiedliwości czy też powierzyć tę trudną misję jednemu z moich młodszych kolegów. Mówię: bronienia Sprawiedliwości, bo Sprawiedliwość jest w Theopolis w defensywie. Nie atakuje ona, broni się tylko przeciwko tym, którzy w nią godzą.

A jeżeli się wahałem, Wysoki Sądzie i Wy, szanowni panowie przysięgli, jeżeli wahałem się, to nie dlatego, jakobym zwątpił szaleńczo w powodzenie słusznej sprawy, ale dlatego, że ze wszystkich procesów, w jakich oskarżałem, ten jest najpotworniejszy, najcięższy.

I podczas, gdy prokurator Ralf Fingal mówił do siebie: oskarżaj, spokojny o triumf prawa, Ralf Fingal-człowiek zasłaniał tą oto purpurową togą oczy, wzdragające się przed tym, co teraz tu widzą.

Na ławie oskarżonych – człowiek, który do niedawna był chlubą policji Theopolis, który był uważany za wiernego sługę prawa. Dla wszystkich dobrych obywateli było do niedawna zaszczytem wymienić z nim słów kilka lub mocny uścisk ręki. Jakże głęboko zapuściła zbrodnia korzenie w duszę miasta! Ten człowiek oskarżony jest dziś o jedno przestępstwo i dwie ciężkie zbrodnie.

Twardą jest konieczność mówienia o tym, Sędziowie, pozwólcie więc, że będę mówił krótko, bowiem sprawa jest jasna, chociaż są tacy, którzy by byli radzi, widzieć ją ciemną.

Człowiek ten twierdzi, że jest niewinny. Nie było w tej dostojnej sali ani jednego oskarżonego, który by tak nie twierdził.

W gabinecie oskarżonego, w głównej komendzie policji, zmarł w tajemniczych okolicznościach jeden z najzdolniejszych naszych detektywów – Evans. Został otruty. Oskarżony twierdzi, iż agent zażył jakiś proszek, który zawierał truciznę zamiast środka od bólu głowy. Ale torebka apteczna zawierała kilka proszków w opłatkach. Dwa z nich tylko zawierały truciznę. Jeden z tych dwu właśnie zażył Evans. Twierdę, że Evans został otruty przez oskarżonego. Jak oskarżony

twierdzi, miał Evans z sobą jakąś tekę. Tekę, która zawierała cenne dokumenty, dotyczące *Związku Tysiąca*. Ale z wyjątkiem oskarżonego nikt tej teki nie widział. Zniknęła ona gdzieś i podobno nawet oskarżony nie wie, co się z nią stało. A czy nie on to, przypadkiem, będąc jedną z najpoważniejszych figur w owej zbrodniczej organizacji, bo tak należy przypuszczać – czyż to on nie zniszczył owej teki, by *Związek Tysiąca* pozostał nadal bezkarny, by nadal knować zbrodnicze plany?

Oskarżony twierdzi, że nie zabił Lacy'ego Kerntopa. Nie wypiera się, iż w krytycznym czasie był na miejscu zbrodni. To byłoby zbyt naiwne. A więc wymyślił sobie bajeczkę, jakoby Evans mówił mu przed śmiercią, że Lacy Kerntop jest członkiem *Związku Tysiąca*. I oskarżony udał się do Kerntopa, by go wybadać w tej sprawie. Kto wierzy temu, niech wstanie, niech wyzwie Sprawiedliwość na ubitą ziemię! Nikt tego nie uczyni, bo oto, na biurku zamordowanego znaleziono list Kerntopa, w którym Kerntop nazywa Murphy'ego podłym, bowiem okradł go z miłości kobiety. Żałuję, że tej kobiety tu nie ma, nie mamy jej świadectwa. Ale jest ono zupełnie zbędne. Zbędne jest tłumaczenie oskarżonego o jakiejś płycie, która nie nagrała bardzo ważnej rozmowy, bo fonograf był... popsuty. Zbędne są dalsze dowody wobec tego, że badanie daktyloskopijne stwierdziło winę oskarżonego.

Jak cień przez tę całą sprawę przesuwa się druga jeszcze kobieta. Znamy tylko jej imię. Ją Murphy również zapewniał obłudnie o swej miłości... Nie zgłosiła się ona dla złożenia zeznań w śledztwie. Pali ją widocznie żal i wstyd, iż w złe ręce złożyła czyste może uczucia.

Uszanujmy jej ból. Niechaj pozostanie bezimienną, skoro chce tak ona i – oskarżony.

Wysoki Sądzie! Im wyżej kogoś życie wyniosło, tym więcej żąda od niego społeczeństwo. Tym surowsza musi być kara dla tego, który zbłądził, będąc przodownikiem.

Tak jest i w tej sprawie. Chcę wyrobić w was, panowie sędziowie, głębokie przekonanie, iż ten, który siedzi na ławie oskarżonych, jest jednym z członków groźnej organizacji.

Nie sądźcie, że z lekkim oskarżam sercem. Wolałbym, by dowody niewinności oskarżonego w puch rozbiły akt oskarżenia, by u fundamentów podcięły jego budowę. Ale dowodów, o które pytam, niema, są za to świadectwa mężów czcigodnych, mężów tej miary, co Roman Czarza.

Dlatego spełniam swój obowiązek i za otrucie Evansa za zamordowanie Lacy'ego Kerntopa, męża, który mógł miastu wiele przynieść dobrego, za umożliwienie ucieczki mordercy Harty'emu, żądam dla Sidneya Clarka Murphy'ego łącznej kary – kary śmierci, w przekonaniu, że wina jego jest udowodniona.

Wstrząsa mną dreszcz grozy, skurcz wzruszenia dławi mi gardło, ale nie mogę postąpić inaczej. Bądźmy mężami, obywatele Theopolis. Precz niemęskie łzy wzruszenia! Nie będziemy szlochać nad dolą twoją, Theopolis, miasto zbrodni, Theopolis – Grodzie Szatana – lecz wyrzucimy z twych murów, wypalimy ogniem i żelazem zło, które się rozpanoszyło! Niechaj mrok, który teraz zapadnie, będzie pobudką do walki ze *Związkiem Tysiąca*, który zagraża miastu.

Nic ponad Sprawiedliwość, Sędziowie!



Głos Ralfa Fingala przestał rozbrzmiewać w obszernej sali, przestał wibrować w mikrofonie. Po wargach Murphy'ego błąkał się blady uśmiech. Przysłuchiwał się mowie obrońcy, który z poświęceniem odgrywał swą niewdzięczną rolę.

Spojrzał z kolei na Czarzę i ze zdziwieniem zauważył, iż uczony postarzał się ogromnie.

Obrońca tymczasem skończył przemówienie i przysięgli udali się na naradę. Trwała ona krótko. Werdykt brzmiał jednomyślnie: winien.

Przewodniczący wstał i włożył na głowę biret przybrany gronostajami.

Monotonnym głosem odczytał wyrok, mocą którego Sidney Clark Murphy został uwolniony z zarzutów ułatwienia ucieczki Harty'emu, natomiast uznany za winnego otrucia Evansa i zamordowania Lacy'ego Kerntopa i skazany na karę śmierci przez powieszenie.

Wyrok miał być wykonany za dni trzy.

Gdy eskorta policji wyprowadzała Murphy'ego z sali rozpraw, wzrok jego padł naraz na młodą, stojącą w tłumie dziewczynę. Twarz jej zalana była łzami.

Clark Murphy zadrzał. On znał tę kobietę. To była May – jego May. Opanował się jednak momentalnie i z twarzą jakby skamieniałą, z głową dumnie w tył odrzuconą minął ją obojętnie, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

Dopiero, gdy wsiadał do więziennej karetki, zapytał oficera eskorty, czy nie wie, kto była owa kobieta.

– Nie zna jej pan? – zapytał oficer. – To May Fairfax, córka gubernatora Fairfaxesa.

– Aha! – odparł Murphy takim tonem, jakby w gruncie rzeczy wiadomość ta była mu obojętna.



Dwa dni, dwa dni jeszcze!

Pierwszy ze Związku Tysiąca czekał cierpliwie. Role były rozdane, instrukcje sprecyzowane z największą dokładnością.

W ciszy, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, ryli najzaufańsi członkowie organizacji podziemny wąski korytarz, który wieść miał do trezorów Banku Theopolis.

Dwa dni, dwa dni jeszcze!

Za dwa dni zawisnąć miał na szubienicy, na małym więziennym podwórzu, Sidney Clark Murphy, a śmierć jego miała być sygnałem do opanowania miasta.

Dwa dni, dwa dni jeszcze!

Za dwa dni Theopolis z wszystkimi skarbami Neda Harrissona należeć będzie do niego.

Dwa dni, dwa dni jeszcze!



Prokurator Ralf Fingal wstał gwałtownie. Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego, nie tej wizyty.

W drzwiach stała May. Odsunęła lekko służącego-Murzyna, który ją poprzedzał i weszła do pracowni Ralfa Fingala jak posąg rozpaczy i

nieszczęścia.

– Pani tutaj, May. Co się stało?

Ujął i podniósł do ust jej rękę. Była zimna jak lód.

Uśmiechnęła się jakimś dziwnym bolesnym uśmiechem.

– Nie sądziłam, że będę tu kiedykolwiek. Los zrządził inaczej.

Przysunął jej krzesło, prześcigał się w wytwornej uprzejmości.

– Nie wie pani, nie pojmuję, jak jestem szczęśliwy, że panią tu widzę.

– Nie wie pan, nie pojmuję, jakie nieszczęście kazało mi przyjść tutaj.

– Słucham, Miss May.

– Pojutrze rano jest egzekucja Murphy’ego.

Zmarszczył swe pyszne brwi:

– Wiem o tym. Pani jeszcze o tym myśli?

– Myślę tylko o tym. Ralf (po raz pierwszy nazwała go po imieniu), Ralfie, przecież on jest niewinny.

– Prawo powiedziało o tym swe ostatnie słowo. Reszta należy do ojca pani.

– Ja chcę, by Murphy żył. Słyszysz pan, Ralfie, ja chcę tego.

– Niech więc gubernator Fairfax podpisze akt łaski.

– Prosiłam i błagałam go o to. Nie chce tego uczynić. Pan zna mego ojca. Upaja się myślą, że jest stróżem sprawiedliwości, odpowiedział mi, że chce przejść do historii Theopolis, jako ten, który nie znał pobłażania dla zbrodni.

– Cóż ja na to poradzę, Miss May?

– Pan ma ogromny wpływ na niego. Niech pan zredaguje własny

wniosek o ułaskawienie. Wtedy mój ojciec podpisze na pewno akt łaski.

Ralf Fingal przygryzł wargi, kilkakrotnie tam i na powrót przemierzał swą pracownię. Puszysty dywan stłumił odgłos jego kroków.

Wreszcie stanął przed May. Patrzała na niego błagalnie, lecz on zdawał się nie dostrzegać tego.

– Nie, Miss May! – odparł. – Ja nie przedłożę gubernatorowi tego wniosku.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zbyt jestem człowiekiem, by móc zdobyć się na to. Człowiek, o którego pani chodzi, obdarł mnie z jednej rzeczy, na której mi na świecie zależało. Obdarł mnie z twojej, May, miłości. Nie mogę, nie chcę przyłożyć ręki do ratowania go.

– Rozumiem pana. Byłoby kłamstwem, gdybym zaprzeczała. Ale przyrzekam panu, że zostanę pana żoną, gdy go pan uratuje... Ralfie...

Uczył powolny przeczący gest głową:

– Pani i tak będzie moją, May – odparł sfinksowato. – Ale wiem, że będę posiadał tylko twe ciało. Twe serce nigdy nie będzie do mnie należało. Ciało twoje to dar bezcenny, ale zbyt jednak mały dla Ralfa Fingala.

– To twoje... to pana ostatnie słowo?

– Nie mogę, Miss Fairfax – odpowiedział, zniżając głos. – Nie mogę!

Wstała nagle:

– A więc nie będę pana więcej prosić.

– May...

– Ma pan jeszcze czas... Niech pan pomyśli jeszcze o tym. Jestem nadal gotowa zapłacić za życie Murphy’ego najwyższą cenę, jaką może zapłacić kobieta.

– Nie mogę, May.

– Więc tak bardzo go pan nienawidzi.

– Tak bardzo, jak bardzo kocham panią.

Skłonił się i chciał wyciągnąć do niej rękę, udała jednak, że nie widzi tego gestu.

– Żegnam pana, panie prokuratorze.

– May!

Chciał mówić coś jeszcze, lecz nie było jej w pokoju. Chwiejnym nieco krokiem podszedł do biurka i usiadł ciężko w fotelu. Huragan sprzecznych myśli szalał pod jego wysoko sklepioną czaszką.



Pierwszy ze Związku Tysiąca czerwonym ołówkiem przekreślił dzień jeden na ściennym kalendarzu.

Jeszcze jeden dzień. Już jutro rano...

Tunel podziemny był już prawie wykończony.



W mrocznym pokoju płonąła mała lampka. Maud Fergusson

przytulila się do Dillinga.

– Oszalejemy tu niedługo, Percy. Straciłam już rachubę czasu. Kiedy będziemy wolni?

Lord Dilling spojrział z boleścią na twarzączkę Maud, na której dni więzienia narysowały swe piętno.

– Pytałem naszego strażnika. Powiedział, że to już tylko kwestia godzin.

– To straszne! Pomyśl, że to śmierć Murphy’ego ma być dla nas wyzwoleniem z tego więzienia.

– To straszne, Maud! Tym straszniejsze, że z mojej winy znajdujemy się tutaj... Jaki jednak podły jest człowiek. Gdy pomyślę sobie, że gdybym nie znajdował się tu, byłbym dziś na miejscu Murphy’ego czuł się prawie szczęśliwy.

– Szczęśliwy?...

– Bo jestem z tobą Maud i jeżeli zginieemy, zginieemy razem.

Nastało długie milczenie. Maud Fergusson przerwała je pierwsza.

– Percy!

– Co, kochanie?

– Myślę, że *Pierwszy z Tysiąca* zabije nas raczej, niż uwolni. Będzie mu może niewygodnie pozostawiać nas przy życiu.

– Porzuć te ponure myśli, Maud.

– A jednak tak może być... Percy... Otóż... jeżeli mamy umrzeć, chciałabym byśmy umarli, jako mąż i żona...

– Co chcesz przez to powiedzieć, Maud?

– Że... chciałabym – przedtem – należeć do ciebie...

– Maud... Maud... najdroższa!

– Teraz zapada podobno noc w Theopolis... Czy chcesz, Percy, by była to nasza noc poślubna?... Czy chcesz, mój ukochany?



Sidney Clark Murphy odbywa po więziennej celi swój zwykły wieczorny spacer.

...A więc to jutro, już jutro o szóstej rano.

Płyną cicho sekundy i minuty i zapadają się w otchłań przeszłości.

Jutro o szóstej rano. Już tak niedługo!

Sidney Clark Murphy przechadza się po swej celi. Pięć kroków w prawo. Stop! Sześć kroków w lewo. Stop! Wstecz zwrot! Pięć kroków w prawo...

Ciche pukanie do drzwi celi. W okienku twarz dyrektora?

– Numerze 672...

Murphy przerywa swą wędrówkę.

– Słucham!

– Gubernator odrzucił prośbę pana obrońcy o ułaskawienie.

Sidney Clark Murphy fałduje czoło. Umysł jego stara się z trudem wyrozumieć nową sytuację. Odrzucił? Gubernator? Gubernator Fairfax, ojciec May... Odrzucił?

– Jestem niewinny, panie dyrektorze. Jestem naprawdę niewinny.

Wargi dyrektora więzienia składają się, jakby do uśmiechu.

– Nie widziałem jeszcze skazańca, który by nie powtarzał mi tego. Czy ma pan jakie życzenia?

– Żadnych, panie dyrektorze, prócz jednego. By pan uwierzył, że ja nie zamordowałem Lacy’ego Kerntopa.

– Więc kto go zamordował?

– Gdybym to wiedział, gdybym to wiedział, panie dyrektorze, nie znajdowałbym się w tej celi.



Wieczoru poprzedzającego egzekucję Murphy’ego niesłychany upał wyciskał pot na twarze mieszkańców Theopolis. Dawno już nie pamiętano takiej parnoty. Obserwatorium meteorologiczne przepowiadało rychłą burzę a wraz z nią ochłodzenie.

Noc była już późna i wskazówki na zegarach Theopolis stały na godzinie dwudziestej trzeciej, gdy w mieszkaniu Romana Czarzy zebrali się strażnicy skarbców Banku. Chodziło o omówienie spraw związanych z jak najszybszym otwarciem skarbców, bank bowiem miał pilne wypłaty.

Dziwnie wyglądało tych trzech ludzi, pełniących najwyższe godności w mieście Neda Harrissona. Fred Fergusson stał się od chwili zniknięcia córki ruiną człowieka. Romana Czarzę przygiął do ziemi fakt odrzucenia aktu łaski przez gubernatora, jedynie Ralf Fingal zimny był jak zawsze, choć i jego dręczyła troska, której było na imię – May.

Konferencja strażników skarbców trwała krótko. Sprawy osobistej natury nurtowały głęboko w ich umysłach, że z trudem tylko nagięli

się do rozważania spraw publicznych, które na barki ich włożyło zaufanie obywateli miasta.

Fergusson zdał krótkie sprawozdanie. Trzystu urzędników specjalnie do tego delegowanych, pracowało bez wytchnienia nad zrekonstruowaniem pełnej listy kombinacji słowa *Theopolis*. Praca ta miała być ukończoną w południe dnia następnego i natychmiast miały zostać podjęte próby otwarcia skarbcza.

– To może potrwać jeszcze kilka dni – zauważył Fingal. – Możemy na właściwą kombinację liter trafić zarówno za pierwszym razem, jak za trzystutysięcznym.

– Musimy być cierpliwi.

Roman Czarża zwrócił się do Ralfa Fingala:

– Zamachu *Związku Tysiąca* oczekiwać należy podobno w najbliższym czasie?

– Tak mówią! Któżby wierzył pogłoskom.

– Ja sędzę, że te pogłoski głoszą prawdę.

– Przyszłość pokaże, kto miał rację.

Fred Fergusson dał znak zakończenia narad.

– Zbliża się burza – rzekł – trzeba nam wracać do siebie. Straszne są dla mnie noce. Od chwili zaginięcia Maud nie było, ani jednej, w czasie której zmrużyłbym oczy.

– A cóż policja?

– Jest równie bezsilna, jak wobec *szatana* *Theopolis*, wobec tajnej organizacji.

Roman Czarża wpił w Ralfa Fingala swe przenikliwe oczy:

– Prokuratorze, chciałem jeszcze pomówić z panem o Murphym.

Czy nie ma pan możliwości odroczenia egzekucji?

– Niestety, nie!

– A gdybym udał się osobiście do gubernatora Fairfaxa i prosił go o łaskę?

– Niczego pan nie dokona. Skoro raz Enoch Fairfax uznał odrzucenie łaski w tej sprawie za czyn historyczny, sprawa jest zupełnie stracona.

– Więc jutro?

– Jutro...

– Do zobaczenia, panowie.

Ralf Fingal od drzwi jeszcze zwrócił się do Czarzy.

– Odroczenie wykonania wyroku śmierci mogłoby nastąpić w jednym wypadku. Gdyby w sprawie Murphy’ego pokazały się jakieś nowe, nieznane okoliczności.

Roman Czarza pozostał sam. Podeszedł do okna i patrzył długo w niebo kłębiące się czarnymi chmurami.

Czarza spojrział na barometr. Spadał gwałtownie.

– Będzie nawałnica – szepnął do siebie, po czym dodał tknięty nagłą myślą. – To dziwne! W nocy, która poprzedzała zbrodnię Atlanta Calla, według kronik miasta, szalała nad Theopolis burza. Jutro ma umrzeć Sidney Clark Murphy.

Daleko, bardzo daleko, zegary Theopolis jęły wydzwaniać północ. Roman Czarza podeszedł do stołu. Myśl jego pracowała niestrudzenie. Myślał o uratowaniu Murphy’ego od szubienicy.

– Nowe okoliczności sprawy? Fingal drwił sobie ze mnie.

Podeszedł do małych drzwi i otworzył je. Orangutan Ro,

wychudzony i zaniedbany, spał skulony na tapczanie.

Czarża wrócił znowu do stołu i jął na nim porządkować papiery. Uniósł jeden pod światło. Widniały na nim odciski palców męskiej ręki. Przypomniawszy sobie, że tą kartką papieru bawił się w czasie obrad Ralf Fingal. Ręce widocznie miał nieco spocone i odciski palców znaczyły się bardzo wyraźnie na ćwiartce papieru.

Czarży przyszło naraz na myśl, że znając odciski palców tyłu ludzi, nie znał linii daktyloskopijnych Ralfa Fingala. Uśmiechnął się, choć nie miał powodów do wesołości. Miał u siebie w domu prywatne archiwum daktyloskopijne i wszystko, co było potrzebne do tego rodzaju badań.

Wziął kartkę papieru z odciskami palców Fingala i począł je badać przez lupę.

Nagle odłożył ją i potarł ręką czoło. Był tak blady, że w świetle lamp elektrycznych rysy jego twarzy wyglądały, jakby kute w alabastrze.

– Nie straciłem chyba zmysłów z upału? – rzekł do siebie zupełnie głośno.

Ujął znowu lupę, lecz tym razem badanie odcisków palców Fingala trwało krótko. Uczony podbiegł do szafy, mieszczącej jego archiwum daktyloskopijne i drżącymi rękoma odszukał fotografię odcisków palców Murphy'ego.

– Jeden na dwieście milionów! Jeden na dwieście milionów! – monologował.

Teraz badanie trwało cały kwadrans, a gdy Czarża po owym kwadransie wstał od biurka, ani jednej kropli krwi nie było w jego

twarzy, a włosy na głowie rozrzucone były w nieładzie.

Spojrzał na zegarek. Było czterdzieści minut po północy.

– Zdążę jeszcze! – wyszeptał. Zebrał troskliwie do teczki fotografię odcisków palców Murphy’ego i kartkę, na której odbiły się linie palców prokuratora Fingala, okrył się oponczą i opuścił szybko mieszkanie.

Gdy znalazł się na ulicy, pierwszy grom zahuczał nad miastem i poczęły padać wielkie krople deszczu.



W kilkanaście minut potem jakiś człowiek, ociekający deszczem, znalazł się w siedzibie gubernatora Theopolis, zażądał od oficera dyżurnego dopuszczenia go do gubernatora Fairfaxesa.

Oficer ruszył ramionami. Gubernator Fairfax spał od dwu godzin i bez szczególnie ważnej przyczyny nie wolno było go budzić.

– Jestem Roman Czarża – oznajmił chłodno przybyły. – Chodzi tu o życie człowieka. Musi pan obudzić gubernatora. Sidney Clark Murphy jest niewinny.

Oficer dyżurny zawahał się jeszcze.

– Niech pan zadzwoni do prokuratora Fingala.

– Nie. Mam powody, by nie czynić tego.

– Córka gubernatora nie śpi jeszcze. Może z nią pan najpierw pomówi?

– Dobrze, byle szybko!

Wprowadzono go do małego saloniku. Deszcz spływał z szat Czarży na kosztowne dywany saloniku, lecz uczonego nie zważało na to.

Weszła May.

– Witam pana, Mister Czarża! Czy jakaś ważna sprawa!

– Najważniejsza w świecie. Clark Murphy jest niewinny. Niechże pani nie mdleje! Na Boga, więc to pani jest ową *May*?...

Skinęła głową:

– Czy ma pan dowody jego niewinności?

– Tak, niech pani zbudzi natychmiast ojca. To, co się stało, to jest cud po prostu.

W kilka minut potem Enoch Fairfax we wzorzystej piżamie słuchał sprawozdania Czarzy. May stała obok, po twarzy jej spływały łzy.

– To nieprawdopodobne, ale tak jednak jest! – kończył Czarza. – Odciski palców Ralfa Fingala i Murphy’ego są zupełnie identyczne. To pierwszy wypadek, jak daktyloskopia daktyloskopią. Ponieważ moja ekspertyza zadecydowała o wyroku śmierci, mam prawo żądać zniesienia go. Wszystko, co poza tym przemawiać by mogło za winą Murphy’ego, to poszlaki... To zbieg okoliczności lub prowokacja. Moja ekspertyza jest obalona. Dwu ludzi w Theopolis ma takie same linie palców. Zbrodnię mógł równie dobrze popełnić Fingal jak Murphy. Trudno może uwierzyć w winę surowego prokuratora, ale sprawiedliwość zna większe niespodzianki.

Enoch Fairfax nalał szklanę lemoniady i wypił ją ze smakiem.

– Tak jest duszno, że trudno myśli zebrać. Hm, trzeba się będzie skomunikować z Fingalem.

– Za nic w świecie. Żądam podpisania w zupełnej tajemnicy nakazu aresztowania Fingala, zniesienia wyroku na Muphy’ego i ponownego przesłuchania go w głównej komendzie policji.

– Kiedy, widzi pan, jeżeli...

Uczony zawrzał gniewem. Spojrzał na May, wzywając jej pomocy.

– Tu chodzi o życie niewinnego człowieka, panie gubernatorze. Jeżeli ma pan jeszcze wątpliwości, uznaję się za pana więźnia do chwili wyjaśnienia sprawy.

– Tak, ojcze, musisz naprawie zło i podpisać zniesienie wyroku.

Fairfax westchnął i machnął ręką:

– A więc dobrze! Niech kancelaria przygotuje natychmiast dokumenty do podpisu.

May odetchnęła i przypadła do ręki ojca. Spojrzał na nią zdziwiony, nie rozumiał za co była mu wdzięczna.



Nad Theopolis rozszalały się żywioły. Piorun walił po piorunie, grom bił po gromie, gruchocąc szklane dachy chroniące przed deszczem śródmiejskie dzielnice.

Deszcz spływał na miasto gwałtowną ulewą. Wicher walił zaciekle w kopuły drapaczy nieba.

Roman Czarża stał przed gubernatorem z twarzą, na której malowała się groza.

– Połączenia telefoniczne z więzieniem zerwane. Radiostacja unieruchomiona uderzeniem piorunu. Mamy jeszcze dwie godziny czasu. Jeżeli w tym terminie nie powiadomimy dyrekcji więzienia, Murphy zginie niewinnie.

Fairfax rozłożył bezradnie ręce:

– Ani auto, ani samolot nie dotrze do więzienia w tę straszną nawałnicę. Tak się dzieje, gdy więzienia buduje się daleko od pałaców gubernatorów – ozwał się zgryźliwie Polak.

May Fairfax siedziała nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Naraz podniosła umęczoną głowę:

– Ro... – rzekła krótko.

Twarz Czarzy rozjaśniła się nadzieją.

– Ro... Ma pani rację. Tylko Ro może dotrzeć w tych warunkach do więzienia. Ro zna drogę. Uciekał tam dwa razy do Murphy’ego.

Minęła godzina, nim sprowadzono orange do pałacu gubernatora.

Czarza umocował małpie na szyi torebkę skórzaną z pismem do dyrektora więzienia. Na torebce czerwoną farbą wymalowany był adres.

– Ro – rzekł Czarza powoli i bardzo wyraźnie, opanowując nagłe wzruszenie. – Ro idź do Murphy’ego... Murphy’ego... idź do swego pana... do więzienia. Do pana!

Wskazał ręką na otwarte okno. Małpa spojrzała na Czarzę mądrymi oczyma. Wyciągnęła doń łapę i jednym susem znalazła się na parapecie okna.

Zginęła w mrokach, w poszumie deszczu, w czerwieni prujących kiry nieba błyskawic. Wówczas dopiero Czarza zażądał połączenia z mieszkaniem Fingala. Prokuratora nie było w domu. Czarza skinął głową. Wszystko było tak, jak się spodziewał.

Gubernator Enoch Fairfax drzemał w fotelu. Usta May poruszały się żarliwą modlitwą.

XXXII

Nad Theopolis pastwiła się szalona nawałnica. Gromy biły nad miastem jak salwy armatnie. Deszcz lał potokami.

Walcząc z burzą, po dachach drapaczy chmur zdąża do więzienia na krańce miasta Ro. Ocieka deszczem, ślizga się po gładkim szkłe dachów, walczy instynktem dziecięcia dżungli z mrokami nocy. Pada, znów wstaje, dąży naprzód, naprzód – do Murphy’ego!

Pierwszy ze Związku Tysiąca uśmiecha się zadowolony. Kilofy spiskowców natrafiły na ścianę największego drapacza nieba. Tylko betonowa ściana dzieli go od trezorów banku.

Sidney Clark Murphy śpi. Trzech ludzi wchodzi do jego celi. Jeden z nich dotyka ręką ramienia śpiącego:

– Już czas!

Kat spluwa siarczyście i mruczy do swego pomocnika:

– Diabli nadali tę pogodę. Jeszcze nigdy nie wieszałem w taką burzę. Przemokniemy do nitki.

– Musimy uwinąć się szybko.



Z dachu na dach, w dół i w górę, choć woda strugami zalewa ślepie, choć wichur spycha z obranej drogi, Ro idzie naprzód.

Naprzód, ciągle naprzód.

W pałacu gubernatora Czarża siedzi bez ruchu, zgarbiony, wtłoczony w fotel. Z oczu May nie płyną już łzy. Wypłakała już wszystkie.

Jest za kwadrans szósta. Ro, Ro, gdzie ty jesteś teraz?

Na wschodzie poczyna się rozjaśniać. Pioruny oddalają się, deszcz zaczyna się zmniejszać. Jest tak samo parno, jak przed burzą.

W sinym brzasku majaczy na małym więziennym podwórku szkielet szubienicy.

Mały orszak wyrusza z celi numer 346.

Clark Murphy pierwszy, z rękoma skrępowanymi na plecach. Obok niego dwaj dozorczy. Dyrektor więzienia. Na końcu kat z pachołkiem.

Jest za pięć minut szósta. Ro, gdzie jesteś teraz?



Dyżurny urzędnik więzienny odczytuje skrzypiącym głosem wyrok śmierci. Kat manipuluje coś przy sznurach. Wprowadza Murphy'ego na mały pomost.

– Czy chce pan coś powiedzieć?

– Jestem niewinny!

Na głowę narzucają Murphy'emu płócienną kapuzę. Jeszcze chwila, a narzucą mu na szyję stryczek i wytrącą pomost z pod nóg.

Murphy myśli niesłychanie spokojnie. Przypomina sobie, jak dowodził niedawno Czarży, że kara śmierci jest koniecznością.

Czemuż kat zwleka jeszcze? Niechaj stanie się prędzej to, co jest nieuchronne.

Kat czeka jedynie na znak dyrektora więzienia. Ów śledzi wzrokiem wskazówki zegarka. Stryczek nie może być zarzucony wcześniej, jak w jedną sekundę po szóstej. Skazaniec musi jeszcze poczekać pół minuty.

– Jeszcze dwadzieścia sekund!

Naraz jakaś czarna, kosmata postać ukazuje się na dachu więzienia i z szybkością wręcz niesłychaną poczyna opuszczać się w dół po drucie piorunochronu. Dyrektor więzienia nie widzi jej. Zwolna podnosi dłoń w górę.

Kat unosi stryczek na głowę skazańca, lecz w tejże chwili olbrzymia, potworna mała z niesamowitym skowytom wtacza się między zgromadzonych. Jednym potężnym uderzeniem łapy strąca kata ze stopni szubienicy, roztrąca dozorców, jak jastrząb rozpędza stadko gołębi.

Ro przybył na czas, przybył w ostatniej sekundzie.

Dyrektor więzienia patrzy osłupiały, jak mała zrywa śmiertelną kapuzę z głowy skazańca, jak szarpie i drze krępujące go sznury, jakby były słabymi nitkami.

Następnie Ro zrywa ze swej szyi torebkę z pismem gubernatora i bezradnie obraca ją w łapach.

Dyrektor więzienia zrozumiał. Rozrywa torebkę i przebiega oczyma treść pisma.

– Wyrok śmierci jest zniesiony – mówi drżącym głosem. – Pan Czarza zebrał dowody niewinności pana. Ma się pan udać

natychmiast do głównej komendy policji.

Murphy osuwa się zemdlony we włochate ramiona gaworzącego coś oranga.



Pułkownik Allan Shacall wyciągnięty o świcie z łóżka, szalał w swym gabinecie.

O godzinie szóstej rano jeden z posterunków policji ujął jakiegoś człowieka, który dobrze pociągnięty za język stchórzył i wyznał, że należy do *Związku Tysiąca*. Powiadomiono o tym natychmiast pułkownika Shacalla, który przybył do głównej komendy policji, by osobiście poprowadzić śledztwo.

Spiskowiec, pod groźbą natychmiastowego rozstrzelania, zeznał tyle tylko, iż *Związek Tysiąca* rozpocząć miał o ósmej rano akcję czynną zdążającą do opanowania miasta. Zeznał, że dzień śmierci Murphy'ego miał być dniem zdobycia miasta i skarbów Neda Harrissona przez *Nieznajomego*. Więcej nie można się było od niego dowiedzieć. Niewiele zresztą wiedział, był przecież pionkiem tylko.

Allan Shacall szalał w swym gabinecie, rzucał szybkie nerwowe rozkazy, szarpiąc kołnierz mundurowej bluzy, nawałnica bowiem – rzecz dziwna – wzmogła upał zamiast go zmniejszyć.

O siódmej rano dotarła do pałacu gubernatora błogosławiona wieść, że Murphy jest uratowany. Wnet potem przybył on samochodem do głównej komendy, wraz z Ro, który ani na krok go nie odstępował.

Równocześnie oficer policji meldował pułkownikowi Shacallowi, iż nie mógł wypełnić rozkazu aresztowania Ralfa Fingala, bowiem nie

zastał go w mieszkaniu.

– Niech pan doniesie o tym gubernatorowi – zdecydował szef policji, który nie wiedział, co sądzić o rozkazie aresztowania prokuratora.

Pułkownik Shacall wydawał rozkazy. Mobilizacja policji całego Theopolis! Wszystkie rezerwy pod broń! Obstawić wszystkie urzędowe budynki kordonami policji! Maski gazowe, łzawiące granaty, ostre naboje!

Sidney Clark Murphy, tak jak był w więziennym ubraniu, zgłosił się do gabinetu szefa. Ku zdziwieniu Murphy’ego Allan Shacall powitał go niezwykle serdecznie.

– Wie pan, co się tu dzieje? – zawołał. – O, gdybym miał choć kilka nazwisk spiskowców. Niech pan natychmiast zrzuci te więzienne łańchy. O sprawie pana pomówimy później. Teraz musimy ratować miasto.



Ostatni wyłom został zrobiony. *Pierwszy ze Związku Tysiąca* przekroczył kupę gruzów i wszedł w ciemne korytarze skarbców Banku Theopolis.

Alarmowe dzwonki były przecięte. *Pierwszy ze Związku Tysiąca* był u celu. Z wybiciem godziny ósmej rano oddziały spiskowców miały owładnąć wszystkimi rządowymi budynkami miasta.

Pierwszy ze Związku Tysiąca był u celu. Szedł na czele wybranej

gromadki spiskowców, nawet tym razem w nieodstępnej masce.

Na ścianach, wzdłuż korytarzy, widniały kolorowe pasy. *Pierwszy ze Związku Tysiąca* wiedział, że według nich musi się orientować. Barwa czerwona do zielonej, czarna do żółtej. Inaczej zmyli drogę w labiryncie pokoików i korytarzyków.

Tu należy nacisnąć guziczek ukryty w boazerii, inaczej otworzą się hydranty i zaleją skarbiec i intruzów.

– Wszystko w porządku.

Po obu stronach korytarza duże sejfy. Kryją one bezcenne sztaby złota.

Szatan Theopolis jest u celu.



Murphy kończył wkładać mundur policyjny, gdy Roman Czarza wszedł do jego gabinetu. Padli sobie w objęcia.

– May? – zapytał Murphy.

– Pozdrawia cię – odparł Czarza. – Gdybyś wiedział, ile ona wycierpiała.

– Więc przypuszczasz, że Fingal zabił?

– Fingal znikł... to potwierdza moje podejrzenia.

– Miastu grozi zamach ze strony *Związku Tysiąca*. Gdybym miał teraz tekę Evansa...

Umilkł nagle. Ro zupełnie niespodziewanie uderzył majora po ramieniu, jakby sobie coś przypomniał, po czym jednym skokiem

znalazł się za oknem.

– Ro, wróć się, Ro! – zawołał za nim Murphy.

Lecz Ro nie usłuchał i wrócił dopiero za chwilę, niosąc w łapach jakiś zbłocony, mokry, duży przedmiot. Złożył go u stóp Murphy’ego z objawami szalonej radości.

Murphy pochylił się i nagle wydał okrzyk.

– Teka, teka Evansa!

Spoczywała widać w jakimś wgłębieniu w murze drapacza chmur, skóra teczki była bowiem nadgniła, lecz zawartość jej ocalała całkowicie.

Drżącą ręką Murphy oderwał zameczek.

– Rozumiem teraz wszystko! – mówił. – Ro spał tu, gdy Evans zasnął. Gdy wybiegłem po pomoc, przebudził się i schował z figłów tekę, po czym wrócił na swe legowisko. Ro, twój figiel mógł mnie kosztować życie.

Małpa poważnie skinęła głową, po czym zrobiła zgrabnego koziołka.

Teka Evansa okazała się nieocenioną. Zawierała długą listę spiskowców.

Allan Shacall odczytywał ją właśnie, gdy w całej komendzie policji rozdzwoniły się alarmowe sygnały.

Czarza się chwycił za głowę.

Alarm! Spiskowcy wtargnęli do skarbców!

Tak też było faktycznie. Spiskowcy nie wiedzieli o jednym urządzeniu alarmowym i nie zdołali go popsuć.



Pułkownik sapał ze zmęczenia:

– Murphy, weź kompanię policji... Dynamit!... Wysadzić drzwi skarbcza. Aresztować intruzów.

– Idę z tobą! – zawołał Czarża. – Jako strażnicy skarbców...

Umilkł nagle. Doznał dziwnego wrażenia, jakby pod stopami chwiała mu się podłoga. Wszyscy obecni spojrzeli po sobie.

Było tak parno i duszno, że słyszeli wzajemnie swe ciężkie oddechy.

Uczucie falowania powtórzyło się. Drapacz nieba drżał w posadach.

– Trzęsienie ziemi – wyszeptał Czarża.

Ledwie dokończył tych słów, gdy naraz przysłała fala potężna, mocarna. Theopolis zadrżało, zakołysało się w fundamentach. Zdawało się, że całe Llano Estacado faluje jak toń morska, że płynie gdzieś w dal, nie ruszając się zarazem z miejsca.

Trzęsienie ziemi.

Drapacze chmur jęły się kołysać niepokojąco. Kilkadziesiąt z nich runęło ze straszliwym łoskotem, grzebiąc w swych gruzach tysiące ludzi, runęło jak domki z kart rozrzucone ręką psotnego chłopca. Inne kolosy oparły się złowrogiej fali.

Drżenie ziemi popłynęło gdzieś daleko, o dziesiątki i setki kilometrów, gdy Czarża, Shacall i Murphy odzyskali przytomność umysłu.

Z dołu, z ulic miasta zawałonych gruzami, doszedł ich ryk ciżby ludzkiej, obłądny wrzask ogarniętych paniką mas.

Podbiegli do okien. Tłumy ludzi rwały gdzieś bez celu, bez przytomności, ogarnięte szaleńczą trwogą. Ludzie tratowali się wzajemnie.

Theopolis, dumne miasto drapaczy chmur, było ruiną.

Wielki, dziewięćdziesięciopiętrowy drapacz nieba mieszczący grób Neda Harrissona, siedziba gubernatora i Banku Theopolis nie runął wprawdzie, lecz osiadł ciężko i zarysował się.

– May! – zawołał z rozpaczą Murphy.

Czarza spojrział na niego z powagą:

– Idziemy, Clark. Mamy rozkaz, który trzeba spełnić. Najpierw obowiązek.

Murphy skinął głową.



Trzęsienie ziemi, które tyle ofiar zabrało, tyle zniszczenia wyrządziło – otworzyło wyjście na świat Maud Fergusson i Sir Percy'emu Dillingowi.

W poszarpanej odzieży, na poły nadzy, zdołali się wydostać spod gruzów.

Sir Percy Dilling objął ramieniem Maud i ruszyli z przedmieścia, gdzie byli więzieni w podziemiach, ku miastu, ku pałacowi Freda Fergussona, który szczęśliwie ocalał.

Cóż obchodziło ich zniszczenie miasta, cóż obchodziły ich gruzy i trupy, gdy byli wolni i pijani ogromem swej miłości?



Kompania policji pod wodzą Clarka Murphy'ego z trudem przedarła się przez ogarnięte paniką tłumy i dotarła do drzwi skarbców.

Skarbiec był jednak zablokowany, należało wysadzić drzwi, by dostać się do niego.

Czarza zbliżył się do Murphy'ego.

– Clark, może jednak przypomnisz sobie teraz. Może przypomnisz sobie hasło i nastawisz je. Oszczędzimy wiele drogiego czasu...

Murphy spojrział z namysłem na dziewięć klawiszów z literami.

– Poczekaj! – rzekł. – Zdaje się, że sobie przypomnę.

Przymknął oczy. Mózg jego pracował z najwyższym wysiłkiem.

Jął naciskać powoli klawisze:

– O, T, E, H...

Potał ręką czoło.

– L, I, S... O, P...

Uczony wydał okrzyk radości. Nad drzwiami skarbcza zabłysła mała, zielona lampka, znak, że hasło nastawione zostało trafnie.

Czarza dobył klucz od zamków i otworzył je.

Drzwi pchnięte przez kilku silnych policjantów uchyliły się.

Czarza, Murphy i policja wkroczyli w korytarze skarbców.

Czarza prowadził, jakby od lat nie robił niczego innego, jeno myszkował w labiryncie trezorów Banku.

– Hallo! – zawołał sierżant policji. – Tu był podkop, który się

zawalił w czasie trzęsienia ziemi. Mają draby odcięty odwrót.

Murphy uśmiechnął się zadowolony.

Weszli do wielkiej sali, zwanej filarową. Trzęsienie ziemi poobalało jednak i połamało filary i kolumny. W rogu sali skryło się kilku spiskowych. Inni spali już snem wiecznym poprzygnięci gruzem i ciężkimi kolumnami.

Pozostali przy życiu poddali się bez upor.

– Tu musiał być *Pierwszy z Związku Tysiąca*? – zapytał surowo Czarża.

– Jest też tutaj! – odparł ponuro jeden z aresztowanych. – Leży tam... Zabity!

I wskazał na postać ludzką przygnięcioną olbrzymim złotym filarem.

Murphy i Czarża podeszli do ciała. Major policji pochylił się i zdjął maskę z twarzy zabitego.

W sali panował półmrok, więc jeden z policjantów skierował snop światła elektrycznej latarki na bladą twarz, której piękności nawet śmierć okrutna nie zdołała umniejszyć.

Była to twarz prokuratora Ralfa Fingala...

Roman Czarża i Sidney Clark Murphy pojęli naraz wszystko i pochylili głowy przed majestatem śmierci.

XXXIV

Związek Tysiąca przestał istnieć. Przy likwidowaniu go główną rolę odegrał major Sidney Clark Murphy.

W trzy dni potem, gdy zdołano opanować rozprężenie, jakie ogarnęło dotknięte trzęsieniem ziemi miasto, prezes Trybunału Sprawiedliwości zwołał sąd na krótką sesję. Była to dziwna rozprawa, bowiem miejsce prokuratora przez cały jej czas pozostawało puste.

Przesłuchano Maud Fergusson i wielu świadków. Pułkownik Shacall złożył sprawozdanie z niezwykłych wyników rewizji w mieszkaniu Ralfa Fingala.

Stało się jasne, iż Maud Fergusson nie mogła być przedmiotem sporu między Murphym a Kerntopem, że Kerntop był członkiem zbrodniczej organizacji Fingala, że zabił go sam Fingal, każąc go za chęć zdrady. Stało się wreszcie jasne, iż Ralf Fingal – „Szatan” Theopolis – uknuł piekielny plan zgubienia majora Murphy’ego, chcąc pozbyć się najgroźniejszego wroga *Związku Tysiąca* i zarazem rywala w miłości do pewnej kobiety, którą w czasie rozprawy nadal określano imieniem *May*.

Rozprawa zakończyła się pełnym tryumfem Murphy’ego i zupełnym wykazaniem jego niewinności.

Tego samego dnia po południu zebrali się ocaleli z trzęsienia ziemi członkowie Rady Dwunastu, by dokonać obioru nowego gubernatora.

Enoch Fairfax bowiem zginął w czasie kataklizmu.

Było ogólne zdanie, by wybrać człowieka młodego o wielkiej energii, który by podołał zadaniom, jakie go czekały. Rada Dwunastu składała się wprawdzie tylko z dziewięciu członków, lecz była dziwnie jednomyślna. Nawet Allan Shacall głosował za kandydaturą Sidneya Clarka Murphy'ego, który tak walnie przyczynił się do likwidacji spisku.

Roman Czarża, przewodniczący Radzie, ogłosił wynik skrutynium.

Sidney Clark Murphy został wybrany na gubernatora miasta.



Gdy odeszły liczne delegacje, składające życzenia nowo obranemu gubernatorowi i Clark Murphy pozostał sam z Czarżą, zwrócił się do uczonego z propozycją, by został przy nim, jako jego stały doradca.

Lecz Polak potrząsnął grzywą siwych włosów.

– Nie! – rzekł. – Pozwól mi wrócić do mego laboratorium, do moich retort i doświadczeń. Ilekroć mnie wezwiesz, przyjdę, by służyć ci radą, lecz tam, w ciszy laboratorium, czułem się najlepiej. I może będę pożyteczniejszy, może jeszcze komuś, jak tobie, uratuję życie. Bądź zdrow! Stałeś pod szubienicą, wiesz, co to jest kara śmierci. Rządź miastem mądrze i łagodnie. Jeżeli zbrodni nie można usunąć z życia społeczeństwa, można ją zmniejszyć do minimum. Ale nie czyni się tego strykiem, bo kara śmierci, jest zwykłym tylko morderstwem. Bądź zdrow!...

Roman Czarża odszedł. Gubernator podszedł do okna i objął wzrokiem olbrzymie miasto w połowie w gruzach leżące.

Odbudować je, dźwignąć – oto było zadanie jego życia. Uczynić Theopolis z powrotem Grodem Boga – wypełnić testament Neda Harrissona, inaczej niż to czynili jego poprzednicy.

W tej chwili kopuła drapacza chmur – grób Neda Harrissona – zapłonęła światłami na znak, że Theopolis nie zniszczało, że dźwignie się z upadku.

Mrok snuł się po gabinecie gubernatora. Cicho szcęknięły drzwi. Gubernator Murphy obrócił się i oparł o framugę okna.

W czarnej, żałobnej sukience weszła do pokoju – ona, May Fairfax. Jego *May*.

Czekał bez ruchu, wpatrzony w nią jak w cudowne, niewiarygodne zjawisko.

Z uśmiechem szczęścia na bladej twarzączce, podeszła do niego zwolna i oparła drobne ręce na jego ramionach.

Wspięła się nieco na palcach, była bowiem niższa od niego i purpurowymi, pachnącymi wargami przywarła mocno i długo do ust Clarka Murphy'ego.

KONIEC

Theopolis – miasto powstałe z wizji, powstałe z niczego, marzenie jednego człowieka, które stało się rzeczywistością. Miasto Boga, które nie wie, co to zbrodnia ani nędza, a ludzie żyją w wiecznej szczęśliwości. Miasto odcięte od świata, by zbrodnia nigdy do niego nie dotarła... Co jednak się stanie, gdy pewien mieszkaniec Theopolis przypadkiem pozna słowo „zabić“?

Dziesiątki lat później Theopolis, zwane już powszechnie Grodem Szatana, przesiąknięte do cna zbrodnią i występkiem, staje w obliczu nowego, nieznanego dotąd zagrożenia – Związku Tysiąca, którego tajemniczy przywódca chce przejąć władzę nad miastem. Prokurator Ralf Fingal oraz major policji Murphy podejmują nierówną walkę z szatanem Theopolis w obronie sprawiedliwości. Czy jednak zdołają ocalić wyniszczone miasto przed całkowitym upadkiem?



ISBN 978-83-63424-60-2



9 788363 424602

Wydawnictwo
CM
www.cmsklep.eu

Patronat
medialny

